

ŚWIAT

A. K. SEMAD

Nr. 41

10. X. 1936

CENA 1 ZŁ.

A. K. SEMAD

TEATR NARODOWY POD NOWĄ DYREKCJĄ LUDWIKA SOLSKIEGO
ROZPOCZĄŁ SEZON POD WYSOKIEMI AUSPICJAMI, WYSTAWIAJĄC STYLOWO
SZTUKĘ W. RAPACKIEGO (ojca) – „WOJCIECH BOGUSŁAWSKI”.



FOT. J. MALAR

Nina Świerczewska, Józef Węgrzyn, Leokadja Pancewiczowa i Elżbieta Barszczewska

A. K. SEMAD

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 41

10. X. 1936

L. CHRZANOWSKI

A F E R Y

Afera Parylewiczowej wstrząsnęła całą Polską.

Nietylko stanowisko i pokrewieństwo oskarżonej grały tu rolę, nietylko zasięg i organizacja przestępstwa, ale przede wszystkim wrażliwość polska na tego rodzaju sprawy. Wrażliwość, która nam zaszczyt przynosi.

Pokaźna ilość Polaków nie dorosła jeszcze poprostu do „wielkomocarstwowego” rozmachu przestępczości w rodzaju stawiśkiady.

Poprostu w zakresie uczciwości pierwiastek „zaściankowy” jest jeszcze u nas dość silny, a pojęcie o kradzieży jako o przestępstwie — dość jeszcze rozpowszechnione. Dlatego to energiczna akcja min. Grabowskiego znalazła poklask w całym społeczeństwie. Każdy i dziś i... jutro będzie mu tę akcję poczytywał za wielką narodową zasługę. Dlatego też takie zaniepokojenie i zdenerwowanie dało się powszechnie odczuć, gdy zahamował się bieg dochodzeń z powodu gromadzącego choroby sędziego śledztwo. Dlatego też cała Polska odetchnęła z ulgą, gdy sędzia — wyzdrowiał.

Dziś nikt już nie wątpi, że sprawiedliwość osiągnie wszystkich i dotrze wszędzie. Jesteśmy

pewni, że ewentualni interwencjoniści, gdyby chcieli zabiegać o względy i względność, *byliby odpaleni i skazani bezwzględnie!* Jesteśmy pewni, że polski minister sprawiedliwości będzie tą skałą, o którą rozbilyby się wszelkie przypyły pobłażliwości. Bo każdy „zabiegacz” w tej czy podobnej sprawie, to autorytetu państwowego podkopywacz.

Ale afera Parylewiczowej nie jest, niestety, jedyną.

Ostatnio rozpoczęta w Radomiu sprawa o nadużycia w urzędzie skarbowym jest równie przerażającym skandalem..

Wiemy, że na całym świecie są kradzieże, nadużycia, przestępstwa i nie wyolbrzymiamy, ani upowszechniamy afer naszych. Ale wrażliwość polska w tym zakresie płynie stąd, że zbyt długo czekaliśmy, marzyliśmy i walczyliśmy o Polskę, aby nie stawiać jej i jej obywatelom wysokich kryterjów ideowych. Stąd płynie alarm, jaki wywołują u nas przestępstwa urzędnicze.

Skandal radomski ma doniosłość wstrząsającą nawet nie dzięki sumie skradzionej — ale przez samą metodę przestępstwa. Była to bowiem zorganizowana szajka złodziejska, banda, co kradła dłuższy czas. Szajka, gdzie kancelista, rachmistrz i naczelnik wydziału szli ręką w rękę! Gdzie zwierzchnicy dopuścili się tego, żeby — wiedząc o „niedokładnościach” — urzędowano nadal w podobny sposób.

I w jakimże o urzędzie znalazła się organizacja *dwudziestu urzędników kradnących lub... tolerancyjnych?*

W urzędzie skarbowym! Gdzie niemal każdy podatnik brany jest pod światło i gdzie często najuczciwsi ludzie traktowani są jak przestępcy.

Afera radomska, to nietylko skandal — to przestępstwo antypaństwowe najskrajniejsze, najbardziej wywrotowe. Ci sekwestratorzy, co pod grozą osobistej rewizji pobierali od płatników po kilkaset złotych i sumy te kradli. Ci urzędnicy, co często wdowi grosz podatkowy zamiast do skarbu przelewali do swych kabz — to gorzej niż złodzieje!

Gdy się jest w urzędzie, nad którym przybite jest godło Orła Białego, gdy pod jego skrzydłami działa urzędnik — nie wolno mu przecież uchybić. Ostre słowo nawet do kancelisty skierowane może być obrazą!

Jakiegoż jednak stopnia obrażę wobec godła państwowego popełnili ci złodzieje, co pod jego auspicjami, w salach, gdzie wiszą portrety Marszałka Piłsudskiego i Prezydenta Mościckiego — kradli grosz podatników, przynoszony ufnie dla Państwa!

Drobny rzemieślnik, chłop małorolny, mały kupiec obracający znikomym kapitałem, którego gro sze tam może skradziono — to nietylko okradzeni. To ludzie, którzy jutro może zaczną ociągać się z płatnością, nie wiedząc, czy ścisła jest kontrola ich wpłat, czy nie pójda one na dobro naczelnika, rachmistrza lub sekwestratora. Tych urzędników — siewców nieufności do Państwa — należy osądzić podwójnie: jako złodziei i jako przestępców *antypaństwowych*. Specjalna surowość i bezwzględność jest tu nakazana w imię godności narodowej i państwowej; w imię obrony dobrego imienia tych wszystkich urzędników skarbowych, którzy uczciwie pełnią swe obowiązki.



P R Z E D OBJEKTYWEM „ŚWIATA”



Prezydent Roosevelt jako b. uczeń słynnego uniwersytetu w Cambridge (Stany Zjednoczone) na 500-letnią rocznicę tego Uniwersyt. przyjął hołdowniczą delegację dostojników tego Uniwersyt.



Lady Wright jedna z najlepszych amazońek angielskich w czasie choroby, kazała sobie przyprowadzić do łóżka ulubionego wierzchowca.



W dzielnicy Latium — pod Rzymem — co rok odbywa się wesole święto winobrania. Piękne wieśniaczki z koszami rospaniałych gron udają się w koro-
modzie do Rzymu.



W ruinach Irunu, jak i w innych zburzonych miastach hiszpańskich odbywają się tragiczne sceny, ci co powracają, często nie znajdują nic i nikogo.

„Dziś za pieniądze jutro darmo”

Czasy dzisiejsze nazwaćby słusznie można „epoką obietnic”. Meżowie stanu z niepospolitą łatwością szafują różowymi mirażami, stwarzając mniej lub więcej dalekosiężne „plany gospodarcze”.

Ten na lat pięć, ów na cztery, inny zaś — bez określonego terminu, zato o bardzo określonej linii. Dlatego doświadczony publicysta bystrem okiem spoglądający na rzeczywistość, pisze: „*Uzbroisz się w plan papierowy, można być conajmniej pewnym jednego: cierpliwości obywateli. Są to bowiem dzieci, którym obietnice wy starczą — nie zawsze, ale bardzo często. Niema też doskonałej rady dla śmiezo upieczonego ministra, jak zalecać mu obmieszczenie długoterminowego „planu.” Będzie miał spokój na dobrych parę lat.*”

„*To, co się dziś dzieje w wielu państwach europejskich i w paru pozaeuropejskich, jest czystą logomacją, opartą na zaporozdci: dziś za pieniądze, jutro darmo.*”

Lapidarnie — i trafnie. Gdyby wszyscy publicyści na świecie mieli tę jasność poglądu, byłoby napewno lepiej i na świecie — i w Polsce. Słowa takie jednak, mo że napisać tylko publicysta naprawdę niezależny. Należy do nich właśnie sen. B. Koskowski, pisarz znakomity, jeden z nader nielicznych u nas publicystów najwyższej miary europejskiej.

Artykuły jego stawiać się powinno za wzór wszystkim młodym i — starszym też — dziennikarzom, jako przykłady jasności myśli, wiedzy, rozważli, taktu i nieskazitelnego stylu, okraszonego, gdy trzeba, gorzką czasem ironią.

Takie określenie w porę rzucone, przylgnie do epoki, jak etykieta: „*Dziś za pieniądze, jutro darmo*”...

Posłuszny

Wuj do siostrzeńca: Mój drogi, nie chcę, żebyś po mojej śmierci płacił ogromny podatek spadkowy — wolę ci dać wszystko ciepłą ręką. Tylko, żebyś spokojnie dożył dni moich, będziesz mi wypłacał jakąś maleńką rentę...

Siostrzeniec: Wujaszku — naturalnie! Tak maleńką, jak tylko zechcesz...



Dygnitarze i kultura

Wielkie święto teatru w Polsce. Dzień odsłonięcia pomnika Wojciecha Bogusławskiego, „Ojca Teatru Polskiego”. W Teatrze Narodowym uroczyste przedstawienie „Wojciecha Bogusławskiego”. Jakże się to pisze w takich ramach?

„*Sam kwiat społeczeństwa zapełnił teatr po brzegi. Najpiękniejsze damy, najświetniejsze nazwiska rodowe, najkosztowniejsze brylanty finansjery błyszczały w wytwornym tłumie, któremu dodawała blasku obecność najwyższych dygnitarzy państwowych, licznie zgromadzonych dla złożenia hołdu etc etc.*”

Stój, nieopatrzny Remingtonie. Gdzie cię gna ten pusty werbalizm?

Przeczytajmy raczej, co pisze o tem Boy - Żeleński w swej recenzji z tego wyjątkowego wieczoru:

„*Przedstawienie wczorajsze miało uroczysty charakter, co się poznaje po tem, że pierwsze rzędy przeznaczone dla dygnitarzy, świecą absolutnie pustkami.*”

Dawni magnaci

Wielki europejski filozof wieku XVI, Holender Erazm z Rotterdamu, miał wielu przyjaciół i zwolenników w Polsce. Magnat polski, Jan Łaski, nabył od Erazma jego bezcenny księgozbiór — i to za sumę bardzo wysoką. Ale z delikatnością przyjaciela pozostawił całą bibliotekę uczonemu do użytkowania aż do końca życia.

Gdzież dziś magnaci polscy z takim gestem?

I z taką pasją do książek?

Kradną tylko biedacy

Tak konsekwentnie twierdzą ci, którzy ubolewają nad nadmiarem więzień w Polsce. (Właśnie więzień — nie przestępstw).

„Kradną tylko nędzarze. Dajcie im chleb — będą uczciwi” — mówią.

Może...

Ale właśnie czytamy, iż groźną, znakomicie zorganizowaną bandą koniokradów w województwie warszawskim kierował nie żaden bezdomny włóczęga, ani nędzarz — tylko zamożny, kilkumorgowy gospodarz ze Skępego na Kujawach — Stanisław Brodnicki.

Gdzież ten list?

W Wiedniu odbyła się niedawno międzynarodowa wystawa teatralna. Obesłana była przez wszystkie kraje europejskie — oprócz Polski. Tą naszą abstynencją zainteresował się Antoni Słonimski i zwrócił się do Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej wśród obcych z zapytaniem w tej sprawie.

Okazało się, że TOSSPO nie otrzymało wogóle żadnego na wystawę zaproszenia. Słusznie urażone, zapytało listownie organizatorów wystawy w Wiedniu o powody tego pominięcia. Nadeszła odpowiedź wręcz oszałamiająca: mianowicie, że Polska jedna z pierwszych otrzymała zaproszenie, że zostało ono wysłane bardzo dawno, bo 18 maja b.r. pod adresem Juliusza Kadena - Bandrowskiego, że nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi organizatorzy wystawy ponowili swe zaproszenie i zapytanie w sprawie udziału Polski.

I że na żaden ze swych listów nie otrzymali wogóle ani słowa odpowiedzi.

Słonimski nazývá całą tę sprawę skandalem. To chyba za łagodnie.

My zapytamy:

Czy Kaden jest płatnym urzędnikiem od „Krzewienia Kultury Teatralnej”?

Czy ja w tym wypadku „krzewił” — czy sabotował?

Czy na opieszałego urzędnika jego władza ma jakieś sankcje?

Rewelacje przedwyborcze

Przed wyborami w Łodzi specjalna komisja egzaminacyjna sprawdzała stopień znajomości języka polskiego, wykazywany przez poszczególnych kandydatów na radnych.

Wzruszamy ramionami. Pocóż ludzi dręczyć? Czyż nie każdy władza dostatecznie mową polską?

Okazało się, że nie. Mową — jeszcze może jako tako. Ale z „pismem“ było całkiem słabo.

Z 15 egzaminowanych wyznaczonych do egzaminu — czterech wogóle zrezygnowało z tej emocji a zarazem i ze stanowiska radnego. Jak się okazało, byli to żydzi, wcale nie władający językiem polskim. Z pozostałych jede nastu egzamin z poprawnego czytania i pisania zdało — czterech ludzi.

Dwuch mozoliło się bardzo, i ani rusz z dyktanda wybrnąć nie mogło.

A pięciu oświadczyło natychmiast, że wogóle nie umieją czytać ani pisać.

Byłoby to wszystko przecież niesłychanie zabawne — gdyby nie było tak ponuro tragiczne.

„Był po siemu”

Z Berlina donosi (PAT):

W numerze wrześniowym nardowo - socjalistycznym „Monatshefte“ dr. W. Lutz udowadnia za pomocą „szczegółowej analizy“, iż wielki poeta niemiecki Henryk Heine „istotnie nie ma prawa uchodzić za poetę“. Autor rozprawy analizuje szczegółowo trzy utwory Heinego, a mianowicie „Lorelei“, „Belsacar“ i „Grenadjerów“ i na ich przykładzie udowadnia „nieudolność poetycką“ Heinego.

W związku z tym partyjna korespondencja prasowa „N. S. K.“ stwierdza, że „obecnie Heine, który, jako żyd wyeliminowany został z pośród poetów niemieckich, przestał wogóle być poetą“.

Tylko w tem sęk, że bardzo łatwo Heinego — poetę urzędową „bumaga“ skreślić. Ale niechno spróbują równego mu poetę — stworzyć z nakazu biurokracji.

Nieutulona w żalu

— Pani droga, co słyszę! Wychodzi pani zamaż? Czyżby pani zdążyła już zapomnieć swego nieodżałowanej pamięci małżonka?

— Ach, pani kochana, gdzież tam... Idę zamaż właśnie poto, żeby mieć z kim codzień rozmawiać o drogim nieboszczyku.

Przepraszam — nie rozumiem

Czytamy w „Gońcu Warszawskim“:

— *Stanowisko drugiego wicecyrektora w Głównym Urzędzie Statystycznym, które zostało kreowane po ustąpieniu prokuratora Dlouhego z ministerstwa sprawiedliwości, a zawakowało po przeniesieniu go w stan spoczynku, nie będzie obsadzone.*

Czyżby to stanowisko nie było już teraz niezbędne?

Tylko wtedy?

W takim razie... Hm...

Czem oddycha Warszawa?

Zaduch w stolicy jest nie do wytrzymania. Człowiek, który przyjeżdża ze wsi albo z Europy — podziwia cierpliwość tego miliona mieszkańców, którzy pozwalają się zatruci najwstrętniejszymi wyziewami.

„Z tem zatrutowaniem — to oczywiście przesada“ — pomyśli ten i ów.

Czyżby? Właśnie w tych dniach kierowca autobusu miejskiego zachorował nagle wskutek zatrucia gazami spalinowymi. I wcale się nie dziwimy. Raczej podziwiamy tych wszystkich, którzy naszymi stołecznymi smrodliwymi autobusami jeździć mogą i — nie chorują.

Wytrzymały naród.

Lojalne mniejszości

Urządowy pomorski „Dziennik Wojewódzki“ ogłasza list gończy za dezterterami uchylającymi się od służby wojskowej. Jak oblicza „Goniec Warszawski“ na zasadzie zestawienia nazwisk — dezercja wśród naszych mniejszości w tej dzielnicy osiąga rekordową wysokość: 65 proc. Niemców obwiązanych do służby wojskowej w Polsce — nie stawia się wogóle do wojska polskiego.



Petrarka alpinistą

Wiadomo, że rozkosze zbliżenia z morzem ludzkość odkryła bardzo niedawno: jeszcze wiek XVIII nie znał wcale przyjemności kąpieli morskich. (Najprawdopodobniej zresztą znali ją starożytni, dopiero zapewne średniowiecze zdążyło piękną tradycję zaprzepaścić. Tak samo, jak człowiekowi w wieku XX-go wydaje się, że „wynałaził“ kaloryfery, gdy tymczasem odkopane łaźnie i domy prywatne w Pompei i Rzymie zaopatrzone były przed dwudziestu wiekami w to „najnowocześniejsze“ urządzenie).

Morze zatem znamy — od lat stu. A jak jest z górami? Kto był pierwszym „alpinistą“?

Pierwszym alpinistą — w każdym razie jednym z pierwszych — był Petrarka. W epoce, gdy tylko pastuszkowie ze swemi stadami wspinali się na wyżyny, poeta — odkrył piękno gór. I urok ich pokonywania. Zachował się do dnia dzisiejszego list Petrarki, mówiący z zachwytem o zdobyciu jednego z najtrudniejszych szczytów alpejskich. Było to — w roku 1336.

Sześćset lat temu poeta stworzył alpinizm.

Miedzy ustami a brzegiem pucharu

Miedzy ustami a brzegiem pucharu odległość bywa mniejsza, niż... między rozporządzeniem ministra, a wykonaniem rozporządzenia przez podwładnych. Oto przykład:

W „Kurjerze Warszawskim“ p. Z. Zaleska opisuje fakt następujący: uczeń wraca ze szkoły do domu, oznajmiając matce, że ma przygotować na wycieczkę szkolną... 30 złotych. Klasa jedzie do Wilna — on musi też.

Matka pieniędzy nie posiada, wobec czego postanawia, że syn nie weźmie udziału w wycieczce. Okazuje się jednak, że uczniom władze szkolne zapowiedziały, że mogą być zwolnieni od wycieczki tylko — chorzy. Wszyscy inni w wycieczce muszą wziąć udział. Coprawda był dopuszczalny drugi powód zwolnienia od wycieczki: mianowicie niezamężność. Ale o tym ostatnim wypadku decyduje sam dyrektor, a nie zainteresowani rodzice.

Nowy — i to ciężki haracz.

A właśnie przed paroma dniami ukazał się okólnik ministra W. R. i O. P. o tem, że nie wolno wyduszać z uczącej się młodzieży żadnych nieprzewidzianych składek! Uparty Nurek.



JAK ŻYJĄ LUDZIE PÓŁNOCY



Dwaj „eleganci” miejscowi wyższej rangi społecznej — mianowicie kapitan i jego pomocnik.

Zdjęcie obok: pomysłowo skonstruowany „skarbiec rodzinny” — zawiera cenne futra, suszone ryby i mięso. Buduje się takie „skarbyce” na wysokich palach, aby wilgoć otaczającego bagna nie zniszczyła dobytku, a także dlatego, że żerujące zwierzęta mogłyby łatwo uszkodzić cały majątek człowieka z tundry.

Ciekawe i zupełnie niepodobne do naszego jest pełne trudów i walki z przyrodą życie ludzi północy.

Ludność północy trudni się niemal wyłącznie rybołówstwem i łowiectwem. Ilustracja obok przedstawia fragment zajęć, związanych z łowiectwem: przed drzwiami prymitywnej chaty matka i dziecko zajęte są wyprawianiem skóry, z której potem człowiek północy szyje sobie dosłownie całą garderobę: kaftan, spodnie, czapę, rękawice i buty.



Choć jednostajny jest materiał, z którego sporządzone są ubrania — jednak wrodzony smak estetyczny każe ludziom północy ozdabiać je wymyślnie malowanymi szlakami, haftami i metalowymi świecicelkami.





Zimno dokucza niemal przez cały rok. Zimą dostarczenie opału jest czynnością główną kobiet. Pracują one ciężko fizycznie i zahartowane są narówni z mężczyznami. Pomyżej — powrót z codziennej wyprawy do lasu po opał.



W tym samym czasie mężczyzna idzie polować na niedźwiedzia. Prymitywna broń, z jaką żaden Europejczyk nie odważyłby się wyjść na grubego zwierza, oraz narty, na których człowiek tundry porusza się ze zdumiewającą zręcznością po zamrożniętej rzece i bagnie — oto jego narzędzia pracy. Poniżej — wyprawa dalsza, gdy zaprzęga się do sań odważne i niesłychanie wytrzymałe psy.



Elegantka miejscowa pali namiętnie fajkę, nosi włosy namaszczone grubo tłuszczem, kaptan skórzany bogato haftowany — a w uszach wielkie złote kolczyki, przechodzące w rodzinie z pokolenia na pokolenie przez setki lat.



Zdjęcie powyżej: „osoba duchowna” ubrana w emblematy swego dostojenstwa.

ŚWIAT TEATRU

Teatr Polski: „KLUB PICKWICKA” Dickens. Reżyserował Al. Węgierko.

Al. Węgierko należy do tych reżyserów, którzy niemal zawsze intuicyjnie odczuwają ducha utworu, który wzięli pod swą pieczę. Zawsze ma się wrażenie, że Węgierce nie powierzono reżyserji tego lub innego dzieła, lecz, że sobie sam je wybrał. Wybrał, bo się palił do tej realizacji. Być może, że się mylę, jako niedostatecznie wtajemniczony w bieg zakulisowych... decyzji, ale tak wygląda. A przecież kuchnia mniej nas obchodzi od dobrego obiadu. A wygląda tak, że Węgierko reżyseruje sztuki, które lubi, które go pociągają, które czuje, których epokę i styl rozumie i w które wobec czego wkłada swój zapal i talent. Jest to reżyser pokroju, o którym jak o muzyku można powiedzieć — ma świetny, porywający ton. Ta wielka zaleta, ten pierwszy warunek dobrego zrealizowania całości dzieła teatralnego jest naturalnym darem, można się tego nauczyć do pewnego stopnia, ale bez tego można być pilnym, starannym, uczonym, pewnym siebie, popieranym — a reżyserem będzie się najwyżej poprawnym. Podkreślałam te zalety reżyserskie Węgierki w pierwszym rzędzie, bo reżyserów twórczych nie mamy za wielu. Można ich policzyć na palcach jednej ręki. W „Klubie Pickwicka” Węgierko jeszcze raz wykazał się swym świetnym odczuciem ducha epoki, osób, stylu, charakterów i nastroju, w jakim to przedstawienie winno się odbywać.

Arcydzieło Dickensa ma w so-

bie przedziwny urok. Jest w nim morze dobroci, bezinteresowności i naiwności, które poprostu napęniają otuchą. Zazwyczaj w teatrze ucziwa naiwność przegrywa w starciu z „czarnymi charakterami”, a tu nie. Tu nie mamy przeświadczenia „jakież życie jest podle”, wprost przeciwnie, jakiś powiew optymizmu otacza nas przez cały czas. Wychodzimy z teatru z nieco melancholijną radością, „ach, jak dobrze jest być bezinteresownym pełnym dobroci altruistą” wnioskujemy i zazdrościmy nieco panu Pickwickowi, że swemi tysiącami funtów mógł dopomagać wielu osobom. Zazdrościmy, bo zdaje nam się, że gdybyśmy mogli, to byśmy czynili tak samo.

Dobroć i szlachetność Dickensowska tryumfują nie tylko autorowi i jego świetnemu dziełu, tryumfują również dzięki sposobowi, w jaki potrafiiono ją upostaciować w Teatrze Polskim. Dwuch znakomitych artystów reżyser Węgierko i Zelwerowicz-Pickwick podali sobie ręce.

Ciepło, dyskretna, ogólny ton, pogoda i w miarę zastosowana jowialność, umiejętnie odgraniczona od rubaszości, świetna dykcja i wniknięcie w charakter Pickwicka oto pobieżne wyliczenie walorów jakie wniósł Zelwerowicz do tej jednej z najlepszych swych ról. Ta znakomita sylwetka w tle, zespole, całości stworzonej przez Węgierkę wysuwała się na czoło, nie wyrывая się mimo to, nie odskakując od całości.

Gdyby można przy ocenie operować wrażeniami tylko, to można powiedzieć, że wystawienie



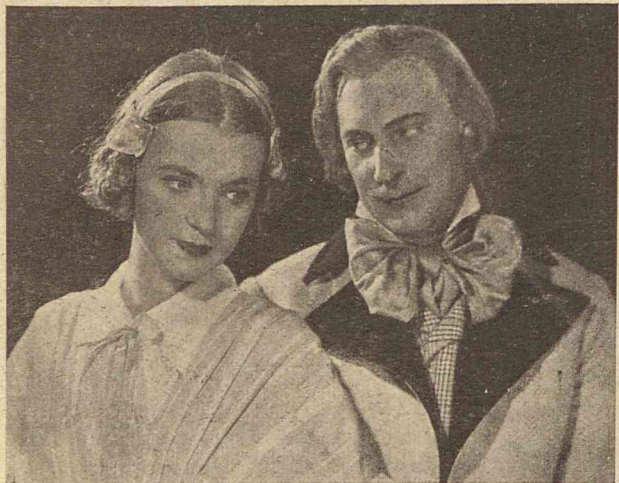
Al. Zelwerowicz świetny Pickwick.

i opracowanie Pickwicka było, jakby wywołaniem przed nami jakiejś wielkiej jasności i pogody.

Dobroć Dickensowska nie moralizuje, nie zwycięża, nie pyszni się, nie każe być wdzięczną — ona tylko jest. Jest jak matka — dobra i wyrozumiała zawsze, przed którą za sam fakt istnienia chce się klękać w najwyższej radości.

Dobrze, że w obecnych czasach zmaterializowania każdego uśmiechu, powodzenia, przysługi, uczucia dano nam w teatrze przedstawienie o tym nastroju i dobrze, że ten nastrój tak świetnie w reżyserji wydobyto. Tego typu przedstawienie, to najlepsza pedagogja. To jest właśnie przedstawienie dla szkół i młodzieży (starsi już się nie poprawia), właśnie dlatego, że swym doskonałym poziomem, humorem w nim umieszczonym, jest przedstawieniem świetnym, a optymizmem jakim zeń płynie może lepszą część duszy ludzkiej wzmacniać. Nie moralizując, nie perorując, nie wytykając palcem co jest dobre, a co złe.

Po tem, co powyżej o wystawieniu Pickwicka niema już wiele do dania. Wszyscy artyści pracowali rzetelnie, promieniując nieraz jakby nowymi zdolnościami. Zauważyliśmy nawet, że niektórzy w innych sztukach



Kurylukówna

i Solarski.

sztywni i nieco „kółkowaci“ pod wpływem Dickensa i zapewne nieco... Węgierki umieli mieć ciepło w głosie i miękkość w ruchach.

Wymienić by należało niemal wszystkich. Więc świetną parę adwokacką stworzyli Woszczerowicz i Krzewiński, kontrast charakterów i sylwetek tych pokątnych doradców, ze sposobem wykonania i wypowiedzania się dał nieprzeciętną próbkę humoru. Te „kruki“ nas nie przerażały, wywołując radosne salwy śmiechu z ich pogńębienia. Kondrat w roli służącego Pickwicka jeszcze raz uwydatnił, swój wdzięk i lekkość wykonania każdej niemal roli: sentymentalizm i dowcip zawsze są przez tego artystę dobrze odczute, strzegąc go od rezererstwa. Mysłakowska i Małkowski — ukazali nam komiczną parę leciwych amantów. Ich komizm, pełen zażenowania, „dojrzała“ naiwność, minoderja i humor — to znów doskonały epizod pełen komizmu i wesołości.

Żywą postać, plastycznego blagiera i oszusta dał Chodecki.



Wilczówna

i Pichelski.

Również pełną werwy, jako głucha, ale nie niema ciotunia była Słubicka.

W rolach epizodycznych zakonanych panienek i subretki ukazały się panie: Wilczówna, Kurylukówna i Lidja Wysocka.

Występ to bardzo udany. Z przyjemnością zauważyliśmy w młodych adeptkach „Pistu“ umiejętność pozowania się, swobodę ruchów, wielką naturalność i prawdziwy wdzięk. Z małych ról nie można sądzić o talen-

tach, widzimy jednak doskonałe warunki i dobre przygotowanie. To bardzo wiele. Teraz trzeba aby mądrzy, dobrzy i ... surowi reżyserzy, nie pozwolili na zaprzestanie pracy nad sobą. A niestety — tak często — idzie to w parze z pierwszym występem, z pierwszym powodzeniem.

Dekoracje barwne, „wesole i pogodne“ dostrajały się dobrze do całości tego wyjątkowo dobrego przedstawienia.

L. Ch.

WALOR DICKENSA

Wiosną bieżącego roku Anglja uroczyście obchodziła stulecie tak charakterystycznego dla niej, a tak popularnego na świecie całym, arcydzieła dickensowskiego — *Klubu Pickwicka*. — Ukazało się wtedy kilka książek opracowujących utwór ten z różnych punktów widzenia, otwarta była od 24 marca do 4 kwietnia wystawa dickensowska, ulicami przeciągały pochody odtwarzające stroje i obyczaje epoki, kina wyświetlały filmy, oparte na powieściach Dickensa etc., etc..

Klub Pickwicka był pierwszym właściwie dziełem Dickensa, gdyż przedtem jego autor był młodym dziennikarzem, który swych zdolności literackich próbował jedynie jako „Boz“ w krótkich szkicach.

Klub Pickwicka powstał prawie przypadkowo, ponieważ początkowo Dickens miał jedynie dostarczać tekstu do karykatur sportowych popularnego rysownika, Roberta Seymour'a.

Co zatem spowodowało, że *Klub Pickwicka* wyrósł do rozmiarów

nieśmiertelnego arcydzieła, a *Pickwick*, Sam Wellers, Nathaniel Winkle i wiele postaci i sytuacji stało się wprost przysłowiem?

Spójrzmy na Dickensa okiem jego przeciwników. Co od niego odpycha obecną publiczność, — to co słusznie zarzucają mu krytycy: ekliwy sentymentalizm, zamilowanie do okropności i nieznośne rozczulanie się nad samym sobą. — Wiele wad — i to jeszcze nie wszystkie, — a jednak faktem niezbitym jest wielkość Dickensa i nieśmiertelność *Pickwicka*.

Bo po obdarciu, oczyszczeniu Dickensa z wyżej wymienionych błędów pozostaje jeszcze to, co właśnie stwarza jego wielkość, to czem zachwycali się w nim Maurois i zmarły niedawno, mądry Chesterton. Jest to jego humor, czyste złoto prawdziwego humoru.

A ze wszystkich niezliczonych nieomal utworów Karola Dickensa jedno jest dzieło, koncentrujące w sobie cały jego humor, a po-

zbawione prawie wad tak bardzo rażących współczesnych czytelników.

Dlatego *Klub Pickwicka* jest nieśmiertelny. *L. Buyno.*



J. Krzewiński i Woszczerowicz.

PIĘKNE STYLOWE PRZEDSTAWIENIE W TEATRZE NARODOWYM

„Wojciech Bogusławski” sztuka W. Rapackiego (ojca)



Rotteroma i Helena Sulima



Wesołowski i Lubieńska



Józef Węgrzyn



Lubieńska i Węgrzyn

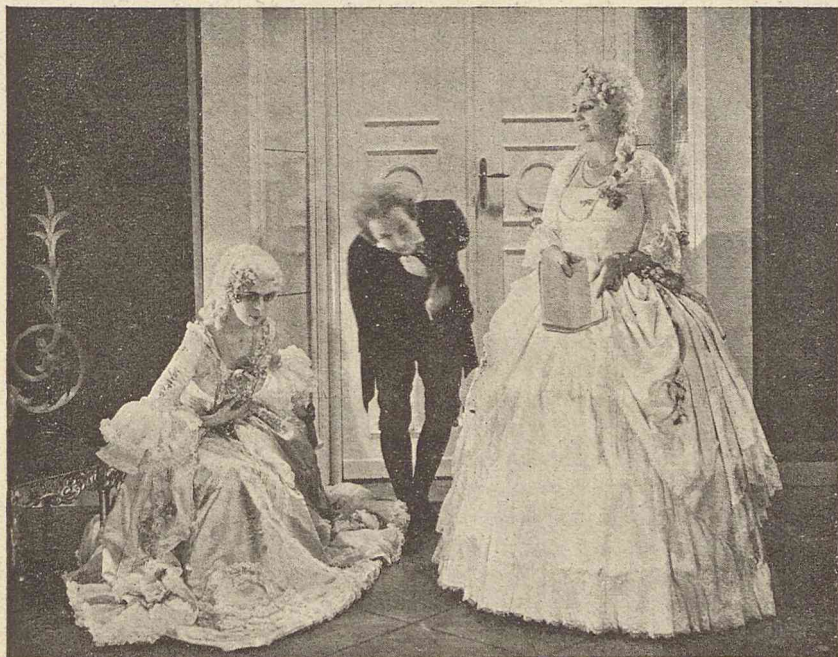


Józef Śliwicki, Helena Sulima i Chmielowski

„BOGUSŁAWSKI I JEGO SCENA”

O uroczystościach teatralnych związanych z wzniesieniem pomnika Wojciecha Bogusławskiego, pisaliśmy już w poprzednim nu-

gusławskiego. Kostjumowość, powien zewnętrzny, dekoracyjny patos tej szuki, też widocznie predestynował ją na jubileuszowy,



Nina Świerczewska, St. Stanisławski i Teresa Lubieńska

merze „Świata” — dziś niewiele pozostało już do dodania. Zasadniczo tylko można żałować, że mimo wszystko nie Bogusławski — autor do nas przemówił, lecz

czy pomnikowy obchód.

W ten sposób jednak Bogusławskiego jako autora przekreślono zupełnie. Nie znaleziono nie, aby wskrzesić, czy nawet odchu-



Andyziński — Węgrzyn — Woskowski

że dano sztukę o Bogusławskim. Być może sądzono, że, posiadając więcej pierwiastka kronikarskiego, sztuka Rapackiego lepiej „opowie” o historii zmagani Bo-

chać z jego dzieł. Mam wrażenie, że wkroczone na drogę najmniejszego wysiłku. „Bogusławskiego i jego scenę” — wystawiono lat temu 25 czy 30-ci, zdaje się, że na

jeden z jubileuszów Rapackiego. Był więc już wzór, była dokonana próba.

Może jednak było lepiej pokusić się o nowe laury inscenizacji. Byłoby to większym pietyzmem, bardziej godne złożenia hołdu Bogusławskiemu, niż i co prawda trudniejsze. Niewiadomo, kto lepiej wytrzymał czas autorski: Bogusławski czy Rapacki. Mimo tego zastrzeżenia — musimy przyznać, że przedstawienie było staranne, że widoczny był pietyzm wykonawców i reżyserji. A mimo to — teatr świeci pustkami!

To bardzo przykre. To dewaluje całą uroczystość!

Tyle artykułów propagandowych, tyle reklamy, znaczny wysiłek i nakład pracy; najlepsi artyści na scenie.

Uroczystość, Święto Teatru, walka o teatr narodowy — wszystko to słyszeliśmy, mówiono nam, pisaliśmy. A w gruncie rzeczy fiasco.

Czemu? Czy zastanawiano się nad tem w dyrekcji? Na pytanie to warto znaleźć odpowiedź. Może być ono zasadnicze dla kontaktu dyrekcji z publicznością.

Czy zła propaganda? Czy nudne zachwalanie nadmierne? Czy może nie pod właściwym adresem skierowane? Bo przecież nie brak zainteresowania naszej publiczności do dawnych, minionych epok. A może tylko brak publiczności wychowanej w kulcie narodowej tradycji teatralnej? Może rozpowszechnione przekonanie, że podobne przedstawienie jubileuszowe musi być... piłą!

Coś tu nie jest w porządku, czegoś brak w inscenizacji tego święta teatru polskiego.

Na taką publiczną obojętność nie zasłużył ani Bogusławski, ani artyści, występujący w poświęconym mu utworze, ani inicjatorzy i realizatorzy uroczystości — ani piękna wystawa i kostjomy.

Czyżby tylko nie umiano zainteresować, przemówić do publiczności, wykrzesać zapal, zagrząć własnym ogniem? Coś jest tu nie w porządku? Może publiczność? Może cała linja repertuarowa — nie wnioskujemy, nie sądzimy, stawiamy pytanie. Pytanie, zasługujące na wyjaśnienie lub rozważenie na łamach urzędowego organu teatralnego. „Teatr” — ma tylu speców, zachwalających każdą premję, że może analizą pustej widowni na „Bogusławskim” chciał i umiał się zainteresować. L.

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

P o w i e ś ć

Każdy nowoprzybywający prenumeratorem otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów”, której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Nowy radca poselstwa polskiego w Danii, Kazimierz Zim, przyjeżdża do Kopenhagi i nawiązuje znajomości ze sferami dyplomatycznymi. Na przyjęciu u posła francuskiego poznaje sekretarkę poselstwa Z. S. R. R., uroczą Ninę Fermor. Nazajutrz spotyka nową znajomą w Muzeum Narodowym, wychodzą razem i idą do parku.

Intymna rozmowa polskiego dyplomaty z rosyjską pięknoscią wprowadza zapowiedź jakiegoś romanisu, a może... intrygi szpiegowskiej. Przypuszczenie to potwierdza późniejsza rozmowa Niny Fermor z posłem sowieckim, Awramem Wolfowiczem Konspiracyjnym. Towarzysz minister zasięga u swej pięknej sekretarki informacji, co do osoby nowego radcy polskiego poselstwa.

— Komunizm nazywa doktryną, taką jak wszystkie inne. Zresztą dwa razy dopiero z nim rozmawiałam.

— Dobrze. Czuwajcie nad jego pierwszymi krokami, z kim się zbliży... Ale teraz mam inną sprawę, ważniejszą... Wiecie, towarzyszeko, że mamy bardzo utrudniony wywiad w Japonii. Nie można tych „makaki” przekupić. Musimy korzystać z innych kanałów informacyjnych. Polityka japońska jest bardzo zainteresowana Holandją ze względu na swoje bogate kolonie, które niewątpliwie wchodzi na daleką metę w orbitę planów Japonii. Holandja nie ma oczywiście żadnych tarć z nami. A nawet obawa przyszłego nacisku Japonii na ich kolonie czyni ją do pewnego stopnia naszą cichą, jeżeli nie współniczką, to przynajmniej solidarnie dzielącą nasze obawy stroną. Czy dobrze jesteście z baronem Corneliusem?

Wsrubował się w nią wzrokiem z poza szkieł.

Nina była wściekła, bo pomimo szalonego wysiłku wewnętrznego zarumieniła się, co jej opalanej cerze nadało barwę płomieni.

Na twarzy Awrama zaiskrzyło się złowieszcze podejrzenie. Nie mówił nic. Nina wiedziała wszystko. Spyta ją zaraz o zdrowie jej matki. Czynił to ilekroć zdarzała się taka chwila, rzadko zresztą, gdy nawiedzała go myśl, iż komunistka Fermor jest przecież hrabianką Fermor. Choć wier-na komunie jak pies, ale jest to pies wściekle rasowy. Nie lubi kundłów.

Błysk myśli... Uśmiech zawstydzienia dziewczęgo:

— Towarzyszu pośle... Zażenowaliście mnie... Nie żądajcie tego ode mnie, bo... on mi się bardzo podoba, jako mężczyzna. Gdyby zażądał zapłaty za taką usługę, to ja... Bylibyście winni mojego upadku kobiety... Z wrogiem proletariatu...

Gra była naiwna, ale dobra, bo rozbrajająca. Towarzysz wstał.

Spoconą łapą ujął jej chwytliwe, delikatne, długie palce.

Drgnęła z obrzydzenia.

Myślał, że ze wzruszenia.

— Darujcie towarzyszeko. Ale chyba nie doceniacie siebie. Ja wiem, komu co polecam. Ja was stawiam wyżej, bo wiem, że jesteście mocna jak rewolucja. Ja się o was nie obawiam.

Cofnął się i zaśmiał.

— Ha, ha, wyobrażam sobie... Nie, nie. Nie śmiałyby... A gdyby śmiał... Ho, ho, kobiety potrafią... A jeszcze tak zdolna dyplomatka... No, a jak zdrowie „mamaszy”?

Drgnęła, ale niewidocznie.

— Dziękuję wam, towarzyszu pośle. Zdrowa. Miałam od niej list wczoraj. Przyszedł z kurjerem, jak zawsze.

— No to i dobrze... Więc powoli, stopniowo nawiązać przyjaźń z baronem... Ja wiem, że oni mają najlepszy wywiad w Japonii, przez oddanych sobie malajów, przez irrydentę koreańską, przez tancerki jawajskie. W informacjach nadsyłanych do poselstwa z ich centrali muszą mieć kopje raportów w sprawach nas interesujących. Wmówicie w niego, że nasze interesy są wspólne.

— Rozumiem, towarzyszu, postaram się. Mogę już wyjść?

— Możecie, Nina Aleksandrowna... A gdybyście potrzebowali pieniędzy...

— Dobrze, towarzyszu pośle.

Poszła do swego gabinetu. Nad notą duńskiego ministerstwa spraw zagranicznych w sprawie aresztowania na Uralu duńskiego inżyniera, załapała się łzami.

— Co za głupstwo! Czego ja płaczę! Przecież to, czego żąda ode mnie Konspirin, jest wyrazem najwyższego zaufania. Komuna jest najpiękniejszym ustrojem społecznym. O ileż wyższym od burżuazyjnego! Durni, oni myślą, że są chrześcijanami. Przecież nasz ustrój jest bliższy chrześcijaństwu, niż ich: równość, ubóstwo, miłość bliźniego bez różnicy stanu, rasy — to my, nie oni. Mogę oddać wielką usługę Sowietom. Czego moja *mamienka* płacze tak często? To po niej chyba odziedziczyłam tę łatwość łez. Czy za reżymu carskiego jej córka mogłaby mieć taką samodzielność? Być dyplomatką! Z czegoż był dumny mój *papieżek*, którego ledwo pamiętam? Że był synem ambasadora. Czy więc jesteśmy upadli, zdeklasowani, jak utrzymuje *mamienka*? Jest mi dobrze, mamie wyznaczili pensję, nie zbywa jej na niczem, nawet służącą ma. Jestem tem, czem był mój dziad, dyplomatka. Czy najbardziej wyemancypowana *ich* kobieta ma taką wolność, niezależność, dumę, jak ja? Któż tu reprezentuje potężniejsze państwo, którego się wszyscy boją? Któryż kraj ma piękniejszą przyszłość, większe możliwości, gdzie jest większe pole pracy! Że *mamienka* jest właściwie zakładniczką... Cóż robić! Skoro byli zdrajcy, którzy nie chcieli wracać do kraju, muszą wszystkich pilnować. Ale to najprzykrzejsze, że nie mogę być szczerą z drogiem, kochanym

Willy. Ale dlaczegóżby nie? Gdyby on wiedział, że go kocham, i gdyby mi wierzył! Ale czy ja go kocham i co to jest miłość? Żądza młodości. Eh, gdyby mi się udało zrobić z niego komunistę! Ale poco! Szczerem nie będzie nigdy. Baron. Choć ja przecież też jestem „hrabianką”. Tak, ale on wychowany w środowisku burżuazyjnym. Na co zresztą! Miłość to nie małżeństwo. Poco mi to! Wytłumaczę mu zupełnie szczerze, że ktoś, jak nie my, młodzi dyplomaci, mamy przygotowywać nasze kraje do dalszej historii. Ich kolonje istotnie mogą być w najbliższej przyszłości zagrożone. A kto im pomoże jak nie my! Przemówię do jego patriotyzmu. Jednak ja mu się bardzo podobam.

To ostatnie uświadomienie uspokoiło ją. Nie miała już wyrzutów sumienia, że nie będzie szczerą względem Willy’ego, otarła łzy, mokrym rękawikiem ochłodziła oczy, przypudrowała nos, przesunęła po wargach kolorową laseczką i nachyliła się nad papierami.

Zacząła koncytować notę do duńskiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Cichutko było w gabinecie nuncjusza papieskiego, pierwszego posła Watykanu w Danii. Na biurku krucyfiks, książki otwarte, mnóstwo papierów, referaty, listy, notatki.

Nuncjusz pisał.

Ręka wolno stawiała litery. Co jakiś czas odkładał okulary, odrzucał się w fotelu i myślał.

A gdy się gubił, przymykał oczy i wzywał Ducha świętego, by pomógł mu w pracy.

Przeszło tysiąc biskupów świata katolickiego pracowało teraz tak, jak on w tej chwili.

Nieomyślny w sprawach Kościoła ma wydać encyklikę niezmiernie wagi — o państwie Chrystusa na ziemi.

Encyklika ogłoszona będzie za dwa lata dopiero. Ale trzeba się już spieszyć, bo to bardzo długa historia.

Porządkiem rzeczy ustalonym — każdy biskup otrzymał polecenie opracowania szczegółowo zagadnienia: —

Co w każdym kraju, społeczeństwie, rządzie, konstytucji, ustroju jest z państwa Bożego, czy może nie niema? Jak daleko do tego? Co się czuje, myśli, czyni? Czy są w ludziach nasiona gotowe do wydania kiedyś owocu — układu z Bogiem w życiu społecznym? Co się o tem pisze i kto pisze? Co mówią filozofowie, moralisci, publicyści, ludzie z ulicy? Czy poza świątyniami działa w życiu codziennym idea Zbawiciela? I jakie wnioski?

Gdy tysiąc takich prac dojdzie kancelarii apostolskiej, Papież każe komisji kardynalskiej przeczytać je wszystkie, rozpatrzyć, zestawić, zanalizować, odrzucić balast, przesiać resztę, skontrolować, ustalić prawdy, które powtarzają się w tym tysiącu prac, i tak powstanie materiał jeden, niezbity, niezaprzeczalny z trzech źródeł: ludzkiej wiedzy, tajemniczy spowiedzi i oświecenia Łaski.

Ten materiał, — esencja uczuć, myśli, intuicji, nauki, czynu — zostanie przekazany małemu komitetowi, który przetrawi go, przyswoi sobie i na tej podstawie stworzy projekt encykliki. Wówczas jeden z kardynałów da mu formę właściwą, a ostatnia komisja aprobatę, i przedłoży projekt Ojcu Świętemu.

Tak powstanie nowa prawda.

Zegar stojący na kominku pod portretem Piusa XI-go wydzwonił czwartą.

Nuncjusz podniósł słuchawkę i nakręcił numer. Odezwiał się głos damski:

— Tu poselstwo Niderlandów.

— Pragnę mówić z panem *Chargé d'affaires*, baronem...

— Łączę —

Po chwili głos męski:

— Przy aparacie Van Cornelius, kto mówi?

— Nuncjusz.

— Ach, witam Eminencję, jak zdrowie?

— Dziękuję, doskonale, a pan, kochany baronie?

— Dzięki Bogu, dobrze. Czem mogę służyć?

— O, służyć, to zbyt wielkie słowo... Kiedyś, w rozmowie, wspominał pan o przeczytaniu ciekawej książki Warrain’a o jakimś filozofie, nie pamiętam nazwiska...

Litera po literze Cornelius wysylabizował nazwisko.

— Podobno jego dzieło dotyczy polityki ujętej w prawa historjograficzne.

— Jedno z dzieł. Nazywa się *Metapolityka*. Mam je nawet.

— Aha! A czy mógłby mi pan wymienić adres wydawcy, bym sobie książkę tę sprowadził?

— Doskonale. Jestem pewny, że Eminencja sprowadzi sobie to dzieło i wszystkie inne tego mało znanego filozofa. Ale tymczasem z przyjemnością pożyczę.

— Dziękuję bardzo, czy mogę dziś przysłać po nie?

— Ależ owszem, tylko że, jeżeli Eminencja pozwoli, byłoby mi bardzo miło wręczyć książkę osobiście.

— Jaki pan uprzejmy! O czwartej godzinie filiżanka herbaty dobrze robi. Czekam.

Nuncjusz położył słuchawkę. Uśmiechnął się. Właśnie o to mu chodziło, by mieć dziś rozmowę z baronem, ale żeby on się sam zaprosił.

Jakoż o czwartej godzinie herbata smakowała baronowi tembardziej, że podana była w starej weneckiej filiżance.

W saloniku nuncjusza skromnie było, ale bardzo wytwornie.

— Pan baron pali — zdaje się — cygara.

Pudełko mahoniowe, inkrustowane brązem, pozostało jednak niepalone.

— Istotnie, palę. Ale, o ile wiem, Eminencja nie pali, więc —

— O, proszę sobie z tego nic nie robić.

— Dziękuję bardzo, ale mam jeszcze inne powody, by w tej chwili nie palić.

— Przepalił się pan.

— Nie, Eminencjo, poważniejsze.

— Zaciekawia mnie pan.

Baron spauzował, jak należy, by efekt był większy. Człowiek opanowany jest zawsze trochę aktorem. Gdy się wie, co się robi i w jakim celu, to wszystko nabiera właściwej formy, czasem z pozorami pozy.

— Poprostu sprawa jest taka: lubię palić dobre cygaro, ale lubię także chcieć nie palić i móc nie palić.

— To bardzo piękne co pan powiedział. Takie władanie sobą prowadzi do wielkich rezultatów. Tembardziej gdy się jest młodym.

— Czterdzieści lat, Eminencjo.

— To jest najpiękniejszy wiek męski. Ale dlaczego pan jest nieżonaty?

— Tak mną rzucało po świecie, że czas biegł, nie pozostawiając mi chwili zastanowienia nad moimi sprawami osobistymi.

Trzymał w ręku książkę dość grubą.

— Oto dzieło, o którym mówiliśmy przez telefon.

Nuncjusz oglądał ładną oprawę, potem spojrzał na tytuł, potem na spis rozdziałów.

— Pan mnie wówczas zainteresował doktryną tego filozofa, jak on się nazywa? —

— To nie jest doktryna, Eminencjo. Ten filozof odkrył prawa kosmiczne, rządzące dziejami ludzkości, odkrył prawdę.

— Prawda jest jedna tylko, Chrystusowa.

— Eminencja wie, jak wiernym jestem katolikiem, to też gdy mówię o odkryciu prawdy, mam na myśli Prawdę Boską.

— To nie było co odkrywać. To już jest odkryte od dwudziestu wieków.

— Tak Eminencjo, ale filozof ten znalazł klucz, według którego idą dzieje ludzkości i oczywiście z tego bardzo prosto wydedukował, jakimi drogami ma iść życie społeczne, polityczne, gospodarcze, wszelkie, by człowiek doszedł do wyzwolenia stwórczego.

— Jakież to klucz znalazł ten filozof?

— Odkrył on prawo postępu, wytłumaczył, dlaczego ludzkość przechodzi ciągle rewolucje, objaśnił działanie rozumu ludzkiego.

— Rozum nie wystarcza. Potrzeba wiary.

— On właśnie zbliżył naukę do filozofii a filozofję do wiary, harmonizując wszystkie te trzy siły.

— To zdumiewające, że ja o tem nigdy nie słyszałem.

— Nic dziwnego, Eminencjo. Dzieła wielkie są mało znane, bo do pewnych idei ludzkość musi dojrzeć, jak człowiek dojrzeć musi, żeby pewne rzeczy zrozumieć. Genjusze wyprzedzają myśl ogólną o setki lat.

— Ciekawe. A gdzie pan wpadł na tego filozofa?

— Byłem przez parę lat sekretarzem naszego poselstwa w Polsce. Zaprzyjaźniłem się tam z Kazimierzem Zimem. Eminencja go zna jako radcę poselstwa, który niedawno tu przybył. On mnie wtajemniczył w system myślenia, który mnie uczynił szczęśliwym, bo dał mi nareszcie rozwiązanie wszystkich problemów ludzkości.

— To zdumiewające! Gdybym nie znał pana jako jednego z najbardziej wykształconych i zrównoważonych ludzi, a w dodatku rzetelnego katolika, gotów byłbym myśleć, że pan się myli.

Baron lekko się skłonił z uśmiechem podziękowania.

— Jestem zupełnie pewny, że gdy Eminencja pozna tę filozofję, uzna ją za pewnego sprzymierzeńca w walce o cele najwyższe.

— Daj Boże, bo walka staje się coraz ostrzejsza.

— Będziemy mieli wkrótce próbkę artyleryjskiego ostrzału, gdy się zjadą tu na kongres świa-

towy przedstawiciele wszystkich trzech wielkich prądów, nurtujących ludzkość.

— Trzech?

— No tak. Tyle ich jest: właściciele złota, którzy rządzą światem, komuniści, którzy chcą nim rządzić, i masoni, którzy mają zawsze gotowy sztab ludzi dla opanowania każdego systemu.

— A katolicyzm?

— Walka jest nierówna, bo Kościół jest siłą wyłącznie moralną, a złoto i komuna — to siły wyłącznie materialne. Dopiero znając tajemnicę celowości kosmosu, prawo stworzenia i prawo postępu, na których oparte są dzieje ludzkości, dopiero umiając władać rozumem na obydwu jego biegach — poznawczym i emocjonalnym, władając rozwiązaniem wszelkich problemów gospodarczych ludzkości, możemy przygotować ludzkość do wyzwolenia moralnego, czego chce Kościół.

— Pożera mnie ciekawość, baronie. Więc pan Kazimierz Zim jest dawnym pana przyjacielem?

— Jestem dumny z tego. Ten człowiek stoi na wielkich wyżynach duchowych, choć ma pozory zwykłego sobie człowieka.

— Także kawaler?

— W koczowniczym życiu dyplomaty doprawdy trudno bywa zakładać rodzinę. On nie ma majątku. Z cudzoziemką żenić się nie chce, w kraju bywa rzadko.

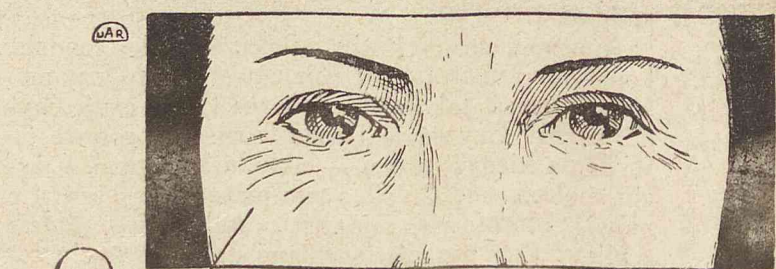
— Pozwoli pan, kochany baronie, że po poznaniu się z tym filozofem, przeprowadzę z panem dyskusję.

— Ależ najchętniej, tylko że ta dyskusja będzie dziwnie zgodna. Bo tej filozofji nie można się nie poddać, jak naprz. nie można być przeciwnikiem prawa ciężenia. Można nic o niem nie wiedzieć, ale wiedząc, że istnieje ciążenie, nie można go negować.

— Dziwne, dziwne...

O godzinie czwartej filiżanka herbaty robi dobrze.

(D. c. n.)



PIERWSZE SYGNAŁY CZASU...

to rysy i zmarszczki na twarzy, powstałe wskutek zaniku włókien sprężystych, zwiotczenia i wysychania tkanki tłuszczowej. Skórę skłoną do wiotczenia nasycajcie udelikatniającym kremem odżywczym Abarid, zapobiegającym tworzeniu się zmarszczek, rys i t. p. wad cery. Krem Abarid jest nowoczesnym, naukowo przygotowanym kosmetykiem, na wyciągu lilii białej i miodzie, stanowi doskonałą odżywkę i ochronę dla skóry.

KREM ABARID

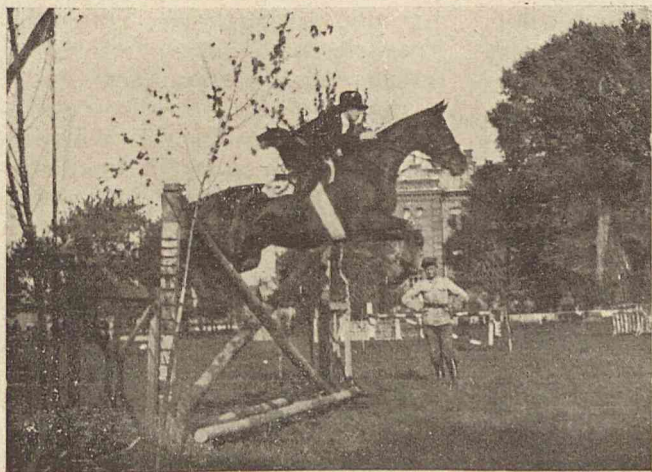
PRZECIW ZMARSZCZKOM

ŻYCIE TOWARZYSKIE I SPORT

Dorocznym zwyczajem Hrubieszowski Klub Jeździecki urządził i w roku bieżącym zawody jeździeckie. Cieszyły się one wielkim powodzeniem a jeźdźcy wykazali się brawurą i doskonałym oprowadzaniem koni. Podajemy parę zdjęć z tych zawodów w numerze dzisiejszym.



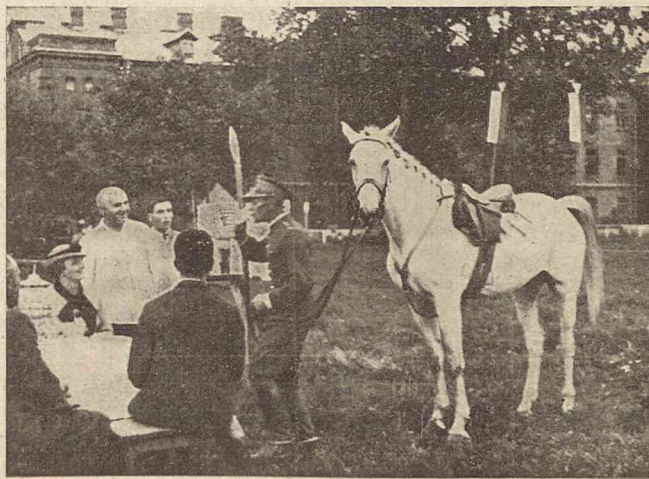
Prezes Klubu p. Jan Bielski i dowódca 2-go pułku strzelców konnych pułk. Niemenberg wręczają nagrody por. Jurkowskiemu i p. Kraińskiej.



Panna Kraińska na „Lady Agnes”.



Minister Isacker przybył z Belgii i odbył podróż po Polsce w towarzystwie min. Romana, badając możliwości uaktywnienia stosunków gospodarczych między Belgią a Polską. W badaniach tych wzięli udział przedstawiciele polskiego przemysłu i finansów. Na czele ich wymienić należy jednego z najenergiczniejszych propagatorów ekonomicznego zbliżenia polsko - belgijskiego, prezesa Antoniego Wieniaskiego, który podejmował u siebie min. Isackera śniadaniem.



Jeden z zawodników pije kruszon podczas ghymkany.

CO CHORZY I ZDROWI O JEDZENIU WIEDZIEĆ POWINNI*)

...Żadne z nas nie ma pojęcia o racjonalnej dietetyce. Pani może się obruszyć: jakto, doskonale znam przepisy higieny, ściśle stosuję dla każdej osoby domowej przepisany dla niej régime. Wiem co to witaminy, wiem co to kalorie, nadkwaśność, niedokwaśność, cukrzyca...

A ja powtórzę swoje: żadna z nas nie ma o tem pojęcia. Prostu dlatego, że dotychczas nie było w języku polskim fachowego a popularnego podręcznika z tej dziedziny. W wieku XX-ym, kiedy lekarze większą zwracają uwagę na dietę niż na lekarstwa — panie domu właściwie dotąd (w Polsce), błdziły poomacku. Obecnie się to radykalnie zmieni — ukazała się bowiem książka, która każdą z nas pouczy w tej materii znacznie dokładniej, niż zwykł to czynić najsumienniejszy nawet doktor.

Bo proszę — jakże to zwykle bywa po wizycie u lekarza? — Przychodzimy do domu z zameciem w głowie. Doktor mówił i to

*) „Dietetyka praktyczna“ nakł. Księgarni Katolickiej fund. Twardowskich w Poznaniu.

i tamto. Zdawało nam się, słuchając go, że świetnie spamiętamy wszystko. To jeść wolno, a tamtego absolutnie nie. Znam jednego tylko lekarza w Warszawie, który dietę zapisuje równie szczegółowo; jak leki. Inni doktorzy ufają pamięci pacjenta. A pacjent potem — biedak — albo odżywia się naopak, bo wskazówki dietetyczne pozapominał. Albo nudzi lekarza przez telefon. Albo — jeśli jest nieśmiały a pedant — pędzi na drugą wizytę w parę dni po pierwszej.

Tych wszystkich tarapatów oszczędzimy sobie obecnie znając — bo każda pani domu napewno sobie sprawi niezmiernie pożyteczną książkę „DIETETYKA PRAKTYCZNA“, wydaną nakładem Księgarni Katolickiej fund. Twardowskich w Poznaniu.

Wskazania dietetyczne opracowały niebyłajkie specjalistki z Liceum Dietetycznego w Inowrocławiu: dr. Natalja Górską, Janina Lewandowska, mag. Marja Morzkowska i inż. Marja Romanowska.

Skrzywi się pewno niejedna z pań — jakież można dać wskazówki odżywiania dietetycznego? Wiadomo, wstrętne papki, kleiki, same paskudztwa... I tak nikt z chorych jeść tego nie chce! Lekarz swoje — a pacjent swoje. Dlatego często tak długo trwają niektóre choroby.

Otóż muszę wyznać, że przeczytawszy książkę „Dietetyka praktyczna“ pomyślałam sobie, że warto jest chorować, choćby tylko dlatego, żeby...być na takiej diecie. Cóż za serja smakolików, jakie wykwiłtne pomysły, co za oryginalne połączenia smakowe, jaka dbałość o wykończenie do najdrobniejszych szczegółów!

Nauczyć się z tej książki można niesłychanie dużo.

Czy pani na przykład wie, że ładnie nakryty stół, harmonijny dobór kolorów porcelany, estetycznie ubrane półmiski — to wszystko nie jest tylko „wymysłem snobów“ — ale stanowi po prostu *przekazanie dietetyki no-*

moczesnej? Taksamo, jak używanie świeżych produktów i czystość w kuchni.

Posłuchajmy niektórych wskazówek tych kilku mądrych i praktycznych kobiet, które nas uczą rzeczy najzwyklejszej niby — mianowicie uczą nas zdrowo ale zarazem i smacznie jeść.

„Dla pobudzenia zdolności wydzielniczej żołądka potrawy powinny być przyrządzone i podawane bardzo apetycznie“ — czytamy w rozdziale o diecie w niezycie żołądka. Przy niedokwaśności znowu: „Drugie dania zestawione być winny apetycznie i podane szczególnie starannie. Mięso na osobnym półmisku z małym garniturem z jarzyn. Jarzyny w małych salaterkach, o szarmonizowanym doborze, tak pod względem smaku jak i wyglądu t. j. barw i konsystencji.“

Ale co w jednej chorobie wskazane — to w innej właśnie szkodliwe — takie wymyślne pobudzanie apetytu nie zawsze jest potrzebne. Więc np. przy nadkwaśności, wprost przeciwnie: „zmniejszać apetyt chorego przez *perwona* jednostajność pożywienia, unikając jednak przesady“ — czytamy.

Pozatem, jak się każdy ze zdumieniem dowie — nawet ta sama choroba nie zawsze miewa jednokową dietę. I tak np. czy uszala kiedy pani od swego lekarza, do jakiej kategorii zalicza cierpienie, które trapi człowieka cywilizowanego z braku ruchu — mianowicie zaparcie. Dowiadujemy się tutaj, że zaparcie bywa trzech rodzajów: pokarmowe, z niedowładu jelit, i kurczowe. Dowiadujemy się rzeczy ważniejszej: że co w zaparciu pokarmowym i z niedowładu jest wskazane — to w zaparciu kurczowym jest wręcz szkodliwe. Jeżeli w pierwszych dwóch wypadkach zaleca się np. chleb razowy, kefir, dużo surowych jarzyn i owoców, oraz napoje zimne — to w wypadku trzecim taka dieta byłaby zabójcza.

Ileż grzechów przeciwko zdrowiu własnemu i swych dzieci popełniała dotychczas pani domu,

Nikt nie zamieni

lampy elektrycznej

na świecę,

lampę spirytusową

lub naftową.

Taksamo nikt

nie zamieni

żelazka elektrycznego

na dawne z t. zw. „duszą“.

zestawiając jadłospisy pełne najlepszych chęci, ale pozbawione fachowego kierownictwa! Teraz — koniec niepewności. Doktor powiedział „chora wątroba” — Otwieramy odpowiedni rozdział „Dietetyki praktycznej” — i mamy „łopatą w głowę” wyłożone, co nam wolno, a co nie. I wcale nie na ślepo, przeciwnie — z popularnym, ale dostatecznym wyjaśnieniem przyczyn i skutków.

Rozdziały, omawiające kolejno poszczególne kwestje, są następujące: Potrzeby organizmu i rola poszczególnych składników pokarmowych w żywieniu. Trawienie i przemiana materji. Towaroznawstwo. Dietetyka w chorobach gorączkowych. Dietetyka w nieżycie żołądka, w niedokwaśności i nadkwaśności, przy wrzodzie żołądka, przy rozszerzeniu żołądka, przy nieżycie jelit, przy biegunkach, zaparciu, wzdęciu, hemoroidach. Dietetyka w otyłości, w wychudzeniu, w chorobach wątroby, w cukrzycy, w chorobach stawowych, w chorobach nerek, serca, krwi, w gruźlicy.

Tym tematom poświęcono połowę książki, czyli pierwsze 220 stron. Druga połowa — to niezmiernie cenne zasady przyrządzania pokarmów, oraz przepisy potraw, gdzie znajdziemy rzeczy nie tylko dietetyczne, ale, jak wspomniałam, wręcz wytworne, odznaczające się niezwykłą dbałością o to, aby pacjenta dietą nie zdręczać, a przeciwnie — sprawić mu nią przyjemność. Dość powiedzieć, że nawet tak ohydna rzecz, jak surowa wątroba, stosowana jako jedyny ratunek przy anemji złośliwej — nawet to obrzydliwe danie obmyślane jest i spreparowane tak, że pacjent polknie je z apetytem, często się nawet nie domyślając, co miał właśnie na talerzu.

Żałuję osobiście, że ta pyszna książka, która powinna stać się *vade mecum* każdej pani domu i każdego niezupełnie zdrowego człowieka — ukazała się tak późno. Że mianowicie nie na wiosnę, kiedy można było stosować z powodzeniem niektóre świetne pomysły, jakich nikt w kuchni polskiej, (notorycznie za tłustej i za ciężkiej) — nie stosuje. Np. cały rozdział poświęcony napojom — to szereg nowości, z których jedna wydaje się bardziej pociągająca od drugiej.

Są napoje z buraków, z pomidorów, z jagód, są soki z march-

wi i moreli z żółtkiem, soki z owoców mieszanych surowych. (mój Boże, całe lato zmarnowane!...). Są kombinacje soków z pomidorów, pomarańczy, etc. Najlepiej mi się podobały dwa przepisy, które tu paniom podam:

SOK ZE ŚLIWEK

250 gram. surowych śliwek sparzyć, wyjąć pestki, rozgnieść, przecedzić, przelewając 100 gramów wody wrzącej. 50 gram. śliwek suszonych wymyć, zalać wrzącą wodą na 24 godz., wyjąć pestki, przecedzić. Połączyć oba soki, doprawić do smaku sokiem z cytryny i cukrem. Podawać na zimno lub na ciepło.

NAPÓJ ZE ŚWIEŻYCH OWOCÓW Z MLEKIEM

5 gram. mąki rozrobić w dwóch trzecich szklanki mleka, zagotować mieszając, ostudzić. Rozgnieść i przecedzić ćwierć kilo surowych owoców, np. truskawek, poziomek, albo żurawin, ośłodzić ten sok, ilością 30 do 50 gram. cukru. Wlewać cienkim strumieniem mleko do soku, ubijając trzepaczką. Podawać zimne.

Różnomych kombinacji owocowych, napojowych, salatkowych, etc. — jest w tej książce mnóstwo. Zawiera ona — poza częścią teoretyczną — 375 przepisów praktycznych na różne potrawy. Czy jadła pani kiedy zupę z pokrzywy? Nie? To szkoda. Bardzo zdrowa — doskonała — i we Francji nader często poda-



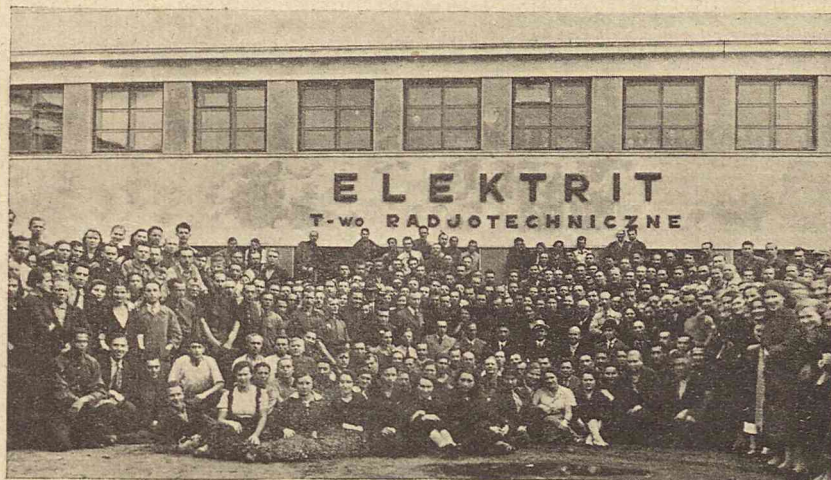
Tak

jęczy reumatyk, gdy bóle stają się nieznośne.
A rada prosta:
Weź
ASPIRIN
Produkt zaufania
Preparat wyrabiany w kraju.

wana. A wiadomo, że Francuzi — to smakosze. W „Dietetyce praktycznej” znajdzie pani przepis na tę zupę.

I wiele innych też.

Nie dając się porwać łatwemu entuzjazmowi, stwierdzić pragnę, że pojawienie się tej książki w starannym, fachowym opracowaniu, jest dla higieny ogólnej u nas niezmiernie ważne. Ułatwi ono lekarzom kierowanie dietą chorych, ułatwi chorym stosowanie się do tej diety. Marzenie ściętej głowy: obyż powstała w Polsce instytucja — sanatorium, pensjonat, czy jak kto chce — któraby te wszystkie świetnie obmyślane przepisy ściśle stosowała! Ręczę, że zjeżdżaliby się tam na kurację nie tylko chorzy, ale i ci, którzy lubią poprostu... smacznie zjeść.
L. T.



Minister Opieki Społecznej M. Zyndram - Kościalkowski, podczas bytności w Wilnie w dn. 23 b. m. zwiedził wraz z Wojewodą p. Plk. Bociańskim i Prezydentem miasta p. Dr. Maliszewskim, w otoczeniu wyższych Urzędników Województwa, największą placówkę przemysłową w Wilnie, pierwsze w Polsce zakłady radiotechniczne „Elektřit”, zatrudniające około 900 robotników.

Zdjęcie przedstawia jedną załogę pracowników. Pośrodku p. Minister wraz z p. Wojewodą i p. Prezydentem miasta, z prawej strony p. Ministra, Naczelnny Dyrektor Zakładów „Elektřit”.

CO LUDZIE ROBIĄ Z WYGRANYMI PIENIĘDZMI

Od szeregu lat prawie co miesiąc dowiadujemy się o ludziach, którzy wygrali większe lub mniejsze sumy na Loterii klasowej. Przed kilku dniami poznaliśmy znowu nazwiska nowych milionerów, a rozpoczynając się wkrótce 37-ma Loteria przyniesie nam napewno serię nowych nazwisk.

Nieraz mówiliśmy już o tem, co myślą i co zamierzają robić ludzie, którzy wygrali wielkie sumy. Warto jednak przyjrzeć się im po kilku miesiącach i latach. Co uczynili z pieniędzmi?

Trudno jest oczywiście znaleźć dziś wszystkich. Już tych, na których numer padł milion — jest kilkudziesięciu. O niektórych można było jednak zebrać informacje.

Faktem jest, że wszystkim im pieniądze przyniosły szczęście. A przynajmniej prawie wszystkim. Ze znanych nam wypadków zaledwie jeden, zresztą człowiek dobrze zarabiający, dosłownie przeżył całe dwieście tysięcy w ciągu jednego roku. Faktycznie zgubiły go karty i ruletka. Inni natomiast nie tylko zachowali wygraną, ale i znacznie ją pomnożyli.

Lokowano gotówkę przeważnie w nieruchomościach, kupując ziemię i domy. Jeden z graczy wybudował piękny hotel — pensjonat w znanym uzdrowisku. Dwaj zużyli wygraną na założenie wielkiego handlu owocami południowymi. Wszystkim

powodzi się znakomicie. Jeden z nich lekarz, odkupił dobrze prosperujące sanatorium, a młody kapłan katolicki większą część wygranej zapisał na cele filantropijne, za resztę zaś wyjechał do Rzymu, gdzie odbywa wyższe studia teologiczne.

Sporo z nowoupieczonych „milionerów” zmieniło zupełnie swój zawód. Listonosz ma obecnie duży sklep kolonialny. Student architektury ma spory majątek podmiejski, gdzie zawzięcie gospodaruje, aplikant adwokacki stał się potentatem w dziedzinie handlu łódzką manufakturą.

Kobiety przeważnie lokowały pieniądze w bankach i w papierach wartościowych, zadowolając się skromnym (dwanaście tysięcy i więcej rocznie) dochodem, lecz za to pewnym. Kilka z nich wyszło wkrótce za mąż, niestety jedna niezbyt szczęśliwie, gdyż zdążyła już się rozwieść. Starsza pani, mająca kilku wnuków, wybudowała każdemu piękną willę pod Warszawą, chcąc „by każdy miał na starość dach nad głową”.

Charakterystycznym jest, że nikt prawie nie kryje się z wygraną na loterii. Przeciwnie: chętnie opowiadają o swoich pierwszych wzruszeniach i choć raz już wygrali, spodziewają się dalszych wygranych. Są to ludzie, którzy doskonale pamiętają o każdej dacie ciągnięcia i kilka tygodni naprzód wykupują już swoje losy.

Kiedy grano w teatrze „Nowości” w Warszawie operetkę „Major ulanów” Krzewińskiego — basową partię śpiewał Władysław Walter naprzemian z Eugenjuszem Kalinowskim.

Pewnego wieczora, gdy widownia była wyprzedana a kolej występu wypadła na Waltera — ten pomylił się jakoś w dacie i nie przyszedł na przedstawienie, sądząc, że tego dnia jest na afiszu jego dubler.

Dyrektor Ludwik Śliwiński puścił w ruch telefony po całym mieście oraz gońców w poszukiwaniu Waltera. Ale gdy publiczność zaczęła się niecierpliwie spóźnieniem rozpoczęcia widowiska, dyrektor zaproponował Leopoldowi Morozowiczowi, aby zagrał przynajmniej w pierwszym akcie za Waltera, a potem zobaczy się, co będzie dalej. W pierwszym akcie jakoś poszło możliwie — nagle zastępstwo, gdyż rola nie miała śpiewów, a z prozą jakoś sobie dał radę Morozowicz. W drugim akcie kontynuowanie roli przez niego było już nie do pomyślenia wobec trudności wokalnych, jakie rola nastręczała.

Ale w antrakcie zjawił się Walter, którego wreszcie odnaleziono.

Uprowadzono publiczność o zamianie aktorów w roli „Osowicza” i jako ten szlagon kresowy w drugim akcie wszedł już nie Leopold Morozowicz, lecz Walter.

O ile Leopold Morozowicz jest wybitnie niskiego wzrostu, o tyle Walter — olbrzymiego. Gdy Rufin Morozowicz zobaczył wchodzącego na scenę już nie swego syna Lopka, ale olbrzymiego Waltera, zawołał:

— Aleś pan urósł w antrakcie!...

„N A S I”

Dwóch kupców żydowskich rozmawia:

— Za co pan nie wyjechał tego lata na letnisko?

— Za co miałem jechać?

*

Dwóch panów, z których jeden był aryjczykiem, szło ulicą.

Ktoś uklonił im się.

— Kłania się pana — mówi niearyjczyk.

— Nie „pana”, a „panu” — poprawia tamten.

— Mi?

— Nie „mi”, a „mnie” — poprawia tamten znowu.

— No to przecież powiedziałem, że pana.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

NIESPODZIANKA



— Czy pan pozwoli, że mój synek pana sfotografuje?

(Passing show).

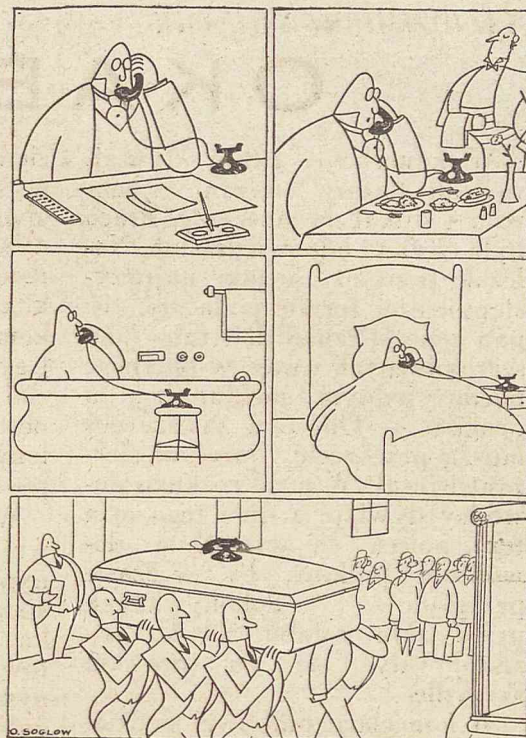
TRZEŻWY SĄD



— Tej nocy śniło mi się, że mi szczepiono ospę.

— Nasyp proszku perskiego do łóżka...

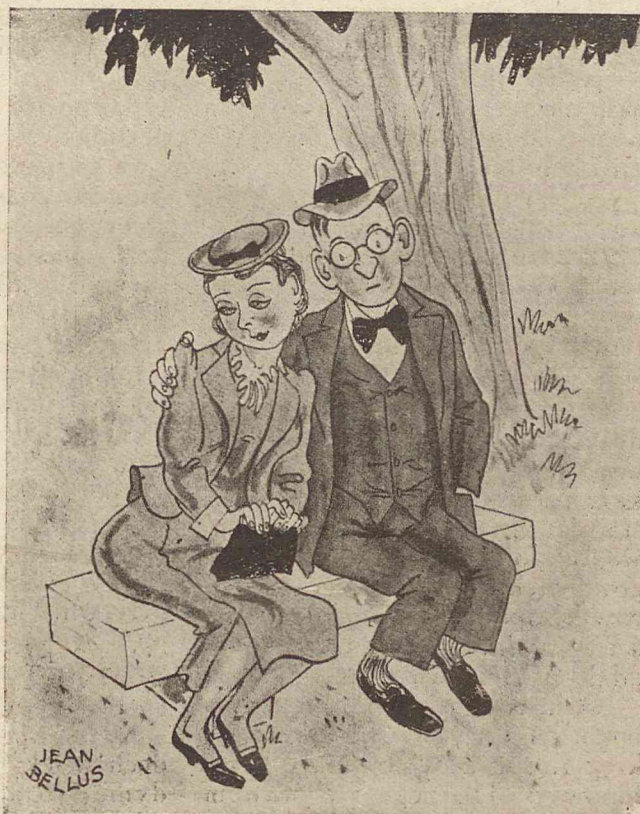
(Tribuna ilustrata).



Tak wygląda życie i śmierć businessmana.

(New Yorker).

O CZEM MARZĄ DZIEWCZĘTA



— Wiesz, niedługo wychodzę za mąż. Nareszcie będziemy mogli widywać się częściej...

(Marianne).

OKAERY

W kancelarii 116-ej dywizji siedział starszy sierżant Bębnowicz i stukał na maszynie. Praca była ciężka i odpowiedzialna. Należało przecież w jak najprzystępniejszej formie podać to, co pan generał rzucił dziś rano jako szereg luźnych uwag, w przerwie między jednym meldunkiem a drugim. — Oni tam zawsze coś muszą przekreślić, mruczał sierżant i pisał: W myśl rozkazu dowódcy dywizji, z dnia tego to a tego, poleca się wszystkim dowódcom pułków, by w czasie przeglądów, dokonywanych przez szefa sztabu, O. K. ery znajdowały się na prawem skrzydle...

W kancelarii pułkowej siedział chorąży Byk i stukał na maszynie: Podaje się wiadomości dowódcom pododdziałów, że zgodnie z rozkazem dowódcy dywizji, z dnia tego to a tego, przy wszelkich przeglądach... Chorąży Byk przerwał na chwilę pisanie i spojrział na rozłożony przed nim rozkaz dywizyjny. — Panie Żelaźniak, zwrócił się do kancelisty pułkowego, — nie wie pan przypadkiem, co to znaczy o. k. ery?

— O. k. ery? zdziwił się pisarz, — jestem już cztery lata w wojsku, ale pierwszy raz słyszę taką nazwę. Może zadzwonić do dywizji i zapytać.

— Jest pan stanowczo za krótko w wojsku, obruszył się chorąży, kto się pyta o takie podstawowe rzeczy? I pisał dalej: ...przy wszelkich przeglądach o. k. ery powinny znajdować się na prawem skrzydle.

Kiedy sierżant Konował, urzędujący w kancelarii, otrzymał przez gońca odpis pułkowego rozkazu, długo siedział zamyślony, starając się przetrawić każde słowo, by potem odpowiednio zredagować tekst rozkazu dla dowódców kompanji. Najwięcej trudności sprawiał mu punkt ostatni gdzie była mowa o przeglądach. — O. k. ery? zastanawiał się głęboko, cóż to znów za skrót? Okręg Korpusu? Ochraniać karabinowy? Dlaczego na prawem skrzydle? Trzeba zajrzeć do regulaminu.

Ale i w regulaminie nie było wyjaśnienia, przeto sierżant Konował, jako uczciwy żołnierz, za-

siadł do maszyny i napisał: W myśl rozkazu dowódcy pułku, opartego na rozkazie dowódcy dywizji, z dnia tego to a tego, zarządzam, by przy przeglądach o. k. ery znajdowały się w każdej kompanji na prawem skrzydle. Uzyskawszy podpis majora, rozesał papier do odpowiednich jednostek ewidencyjnych i zadowolony ze spełnionego obowiązku, poszedł na piwo.

W kancelarii kompanijnej wrzało. Sierżant szef w okropnym humorze, raz po raz łamał stalówkę pisząc codzienny rozkaz. Trzyńście karnych raportów, zakończonych bezapelacyjnym aresztem, rozdęta lufa, zagubiony bagnet, nieporządku na sali w drugim plutonie, wszystko to musiało się stać dziś, właśnie dziś. A teraz znów te okaery... — Czort jeden wie co to znaczy, mruczał wściekły, ani się zapytał, bo powiedzą, że nie znam przepisów, ani gdzie przeczytać, bo to napewno tajny skrót, — ot, ciężkie życie!

Niedarmo jednak dzielny szef sprawował swe funkcje od sześciu lat zgórą. Był zbyt doświadczonym żołnierzem, by opuszczać ręce w niepowodzeniu. Zaklął tylko po raz setny i zabrał się do pisania.

O godzinie szóstej kompanja stała na zbiórce, gotowa do wysłuchania rozkazu. Sierżant szef dał komendę — baczność — otworzył grubą księgę i subtelnie modulując głos, czytał powoli: Zgodnie z rozkazem dowódcy bataljonu, opartym na rozkazie dowódcy pułku, bazowanym na rozkazie dowódcy dywizji, z dnia tego to a tego, zarządzam, by przy wszelkich przeglądach, dokonywanych przez szefa sztabu, o. k. ery znajdowały się na prawem skrzydle... Tu pan szef przerwał i groźnie tocząc oczami po wyprężonych postaciach strzelców, zawołał donośnie: — O. k. ery! wystap!!!

Kompanja ani drgnęła. Jakby dech uciekł z ludzi i zostały jedynie sztywne postacie zmartwiałe w postawie zasadniczej.

— O. k. ery! wystap!!! ryknął sierżant po raz drugi, ale nikt się nie ruszał. Odznaczony wielokrotnie krzyżami za waleczność

*wóclki ramkowe
dobre i zdrowe*

i odwagę, szef poczuł nagle coś w rodzaju niepokoju. Trzeci raz nie mógł krzyknąć, nie narażając na szwank swego autorytetu, a tu jak na złość nikt nie występował.

Nagle na szarym końcu oddziału, wśród t. zw. konusów, zaczął się jakiś ruch. Ktoś przedzierał się z drugiego szeregu, łokciami torując sobie drogę. Przed frontem stanęły trzy postacie, w których sierżant szef bez trudu rozpoznał trzy najgorsze ofiermy i zakały całego pułku.

— O. k. ery na prawe skrzydło, zakomenderował, ciesząc się w głębi duszy, że tak łatwo i bez kłopotu rozwiązał literowy rebus.

— Panie generale, melduję posłuszenie oddziały gotowe do przeglądu, raportował dowódca pułku szefowi sztabu.

Generał przeszedł przed frontem. Dziarska postawa żołnierzy wprawiła go w dobry humor.

— A propos, zwrócił się do towarzyszącego mu pułkownika, czy pan ma u siebie o. k. ery?

— Tak jest, panie generale, według rozkazu znajdują się w każdej kompanji na prawem skrzydle.

— Na prawem skrzydle? zdziwił się generał, ale ja tu nigdzie ich nie widzę.

— O. k. ery wystap!! krzyknął pułkownik. Z prawego skrzydła wyskoczyło trzech strzelców i stanęło przed frontem. Zrobili to sprawnie i szybko, wyjątkowo sprawnie jak przystoi w obecności najwyższej władzy.

Pułkownik, zadowolony, wskazał ich generałowi.

— Zgodnie z rozkazem wybrałiśmy po trzech z pośród najtęższych i najinteligentniejszych żołnierzy, oznajmił z dumą.

— Ach, więc to są pańskie o. k. ery, — rzekł generał, pańskie najlepsze o. k. ery, panie pułkowniku. Najinteligentniejsze o. k. ery, w całej kompanji! Mogę panu tylko powinszować, panie pułkowniku. Prezentują się istotnie nieźle, tylko trzeba panu wiedzieć, że o. k. ery — znaczy — okregowe klacze rozplodowe — rozplodowe klacze — panie pułkowniku.

KOBIETA i SAMOLOT w ARKTYKU

(Korespondencja z Ameryki)

Minęły romantyczne czasy powieści Londona i Curwooda. Na północy Kanady, poza kręgiem polarnym zdumione oko spostrzega komfortowe domki, z dywanami, firankami, stolikami do bridge'a, żurnalami mody i t. d. Stało się to dzięki pewnemu równouprawnieniu kobiet. Obecnie żony towarzyszą mężom w odległe krainy podbiegunowe.

W miastach traperów i górników w arktycznej części Kanady znajduje się obecnie wiele kobiet: nauczycielki, służące, maszynistki, kucharki... i to o setki mil od najbliższej stacji kolejowej.

Przecież zaledwie pięć lat temu w Cameron Bay nad jeziorem Wielkiego Niedźwiedzia spotykało się jedynie paru białych poszukiwaczy - pionierów. Obecnie istnieje tu miasteczko z kościołem, magazynami, bankiem i restauracją. Cameron Bay łączy z resztą świata linia lotnicza. Najbliższe miasto, Edmonton jest oddalone o 1500 km. Stąd właśnie samoloty przywożą do Cameron Bay mleko, masło, jajka i owoce. Mieszkańcy Cameron Bay uprawiają warzywa i łowią ryby. A skoro miejscowej gospodyni przyjdzie ochota na zakupy, których we własnym miasteczku dokonać nie można, wsiada do samolotu, kursującego do Edmonton, stolicy stanu Alberta, miasta, liczącego 60.000 mieszkańców.

Pani T. A. Byrne, żona doktora z Cameron Bay jest pierwszą kobietą, której dziecko urodziło się nad brzegiem jeziora Wielkiego Niedźwiedzia.

Pani Harold Reed jest zarządzającą restauracji w Cameron Bay, której liczni klienci przybywają i odjeżdżają — drogą powietrzną.

Pani Mc Dougall jest krawco-

Gruźlica płuc jest nieubłagalna i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu i t. p., stosują pp. Lekarzy „BALSAM TRIKOLAN AGE” (dawniejsza nazwa „Balsam Thiocolan Age”), który, ułatwiając wydzielanie się płwociny, usuwa kaszel, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego. Sprzedają apteki.

wą w Cameron Bay, a mimo to studjuje stale ostatnie nowości mody paryskiej.

May Rice, ładna siedemnastoletnia dziewczyna jest pokojówką - posługaczką w tem dziwnym miasteczku. Dwa razy na tydzień ładuje się wraz ze swemi szczotkami, mydlami i t. p. przyborami do samolotu, aby przeprowadzić sprzątanie u robotników w kopalni złota w Goldfields, w okręgu Saskatchewan. May Rice jest z pewnością najlepiej płatną posługaczką na świecie, skoro opłaca się jej udawać się do pracy samolotem.

Ubiegłej zimy pożar zniszczył prawie całkowicie miasteczko Aklavik. Pompy pożarnej nie było w promieniu 350 km. od Aklavik, a zresztą wszystkie studnie i źródła były zmarznięte. Szpital spłonął. Lecz trzy pielęgniarki, Ruth Hamilton, Helen Hurcheson i M. A. Salomon uratowały z płomieni wszystkich chorych Eskimosów i Indian. Mimo 40 st. niżej zera udało im się wezwać kanadyjską konną policję i już nazajutrz chorzy, prowizorycznie rozmieszczeni w domkach traperów zostali przewiezieni samolotami na południe, do szpitala w Pangnirtung na wyspach Baffina w odległości 3500 km. od Aklavik.

Niewiadomo co popycha te ko-

biety w te odległe krainy. Czy to chęć przygód, czy potrzeba niesienia pomocy? A może to instynkt pionierski, który stworzył nowożytną Amerykę?

Bezinteresowność ludzi tych odległych krain najlepiej ilustruje opowiadanie pilota, który pełni tam swą trudną służbę. Samolot wylądował właśnie w obozie rybackim Złotego Jeziora i oczekiwiał na zwykły ładunek ryb. Pilot dowiedział się tam, że dziecko jednego z rybaków jest ciężko chore, a doktora na miejscu nie było. Lotnik zaoferował się matce chorego dziecka, że ją wraz z niem przewiezie do najbliższego miasta, Prince Albert, odległego o 200 km. Nieszczęśliwa przystała, ale pod warunkiem, że ofiarny lotnik przyjmie część ryb z połowu jej męża.

Samolot oddaje nieocenione usługi ludziom zagubionym wśród bezkresów Arktyki. Samolot przynosi żywności. Samolot zabiera futra i złoto, wydobyte ciężkim trudem z ziemi. Samolot przewozi dzieci do dentysty, czy do szczepienia ospy. Lotnictwo zbliżyło Arktyk do świata cywilizowanego i umożliwia jego stały rozkwit gospodarczy.

J. Dawson.

70 lat istnienia
daje pełną gwarancję
kupującemu



Miodkowski

PL. 3 KRZYŻY 18.
MARSZAŁKOWSKA 92.



PRZECZYSZCZANIE MEBLI
W. WĘGIELEK
i S-KA
WARSZAWA
TREBACKA 1
TEL. 240-45 240-46

PRZY ZŁEJ PRZEMIANIE
MATERII, SKLEROZIE, WY-
CZERPIANIU, ARTRETY-
ZMIE, REUMATYZMIE,
CIERPIENIACH DROG
ODDECHOWYCH,
ZALECA SIĘ

NATUR. SOK CZOSNKU
CHOYNOWSKIEGO



SPRZEDAŻ
w APTEKACH

i SKŁADACH
APTECZNYCH

po zł. 2.80 za flakon
a w razie braku zwracać się:
do LABORATORJUM
B CHOYNOWSKI i S-ka

W-wa Miodowa 14 tel. 542-99

PO OTRZYMANIU NALEŻNOŚCI WYSYŁAMY
KAŻDĄ ILOŚĆ NIE LICZĄC OPŁATY POCZT.

COGNAC MARTEAU

TADAC

WSZĘDZIE

WIELE JEST ŚRODKÓW PRZECIWKO **HEMOROIDOM**,
WYNIK KURACJI ŚWIADCZY O ZALETACH UŻYTEGO ŚRODKA.

ŁOPKI „VARICOL” GĄSECKIEGO
STOSUJE SIĘ PRZY **BÓLACH, KRWAWIENIU**
SWĘDZENIU, PIECZENIU i INNYCH OBJAWACH
HEMOROIDALNYCH. — PRZY ZEWNĘTRZNYCH GUZACH
HEMOROIDALNYCH STOSUJE SIĘ **MAŚĆ „VARICOL”**

„VARICOL” GĄSECKIEGO NIE ZAWIERA SZKODLIWYCH SKŁADNIKÓW

Fabryka Frykotaży
Jan Matuszewski
102 Marmalkotowska 154
33 Chmielna 40 Nowy Świat



Wspaniała karjera Roberta Taylora

Młody, wysmukły człowiek, o ciepłym spojrzeniu swoich dziwnie jasnych oczu w ciągu jednej nocy zawładnął Hollywoodem. Stolica filmu oddawna poszukiwała amanta, któryby łączył w sobie nie tylko ujmujące warunki zewnętrzne, ale także i pewien procent aktora czystej krwi. Lodowate twarze cukierkowych amantów dosyć wyraźnie znudziły publiczność. Ponure, zbyt męskie twarze t. zw. „Cavemanów” (jaskiniowców we fraku) miały tylko ograniczoną ilość wielbicieli. Ameryka, a wraz z nią cały świat żądali czegoś nowego.

Minęło dziesięć lat od śmierci historycznego już dziś „kochanka ekranu”, jakim bezsprzecznie był Rudolf Valentino. Krytycy i publicyści zastanawiali się dosyć długo nad tem, co było głównym powodem rozgłosu i sławy tak wcześnie zmarłego Włocha, za którym szalały miliony kobiet na świecie. Ostatecznie wszelkie dociekania speliły na niczem. Skonstatała natomiast z tego faktu reklama filmowa i odtąd lansowała każdego nowego amanta, jako „nowego”, godnego następcę Valentina. Przewijały się przez ekran setki twarzy tych „godnych następców”. Niektórzy z nich byli nawet ludzko podobni do niezapomnianego Rudi. Zapomniano jednak o tem, że nie reklama stwarza indywidualność, ale ta ostatnia zjawia się raz na kilka lat, jak meteor i świeci wspaniałym blaskiem swego talentu ze wszystkich ekranów świata.

Młody, wysmukły człowiek, o ciepłym spojrzeniu, stał się sławny w ciągu jednej nocy. Jego nazwisko brzmi Robert Taylor.



Dwie sławy: Marlena Dietrich i Cecil B. de Mille.

fol. Paramount.

Te dwa słowa wypisują kolorowe węże neonów na frontonach kin całego świata. Publiczność ma zawsze głos decydujący. Od publiczności zależy wszystko i publiczność zadecydowała. Robert Taylor to jedyny mężczyzna ekranu, za którym przepadają wszyscy. Rzadko kiedy mamy do zanotowania podobny wypadek, aby jakiś aktor, lub aktorka od razu zyskali sobie uznanie i podziw wszystkich.

Po pierwszym filmie Roberta Taylora zaszedł wypadek nieoczekiwany. Ten młody, nikomu nieznanym aktor zdobył publiczność dosłownie od pierwszego wejrzenia. Po pierwszym filmie przyszedł nowy, a każdy z nich umacniał tylko i potwierdzał sławę nowego bożka ekranu, najurodziwszego mężczyzny w Hollywood.

Obecnie przynosimy czytelnikom naszym rewelacyjną wiadomość. Robert Taylor ukaże się wkrótce w swoim najlepszym filmie, p. t. „Owoc grzechu” (Private Number). Jest to bezsprzecznie najbardziej wybitny film tego najpopularniejszego aktora. Obok niego ukaże się przemila i wyjątkowo piękna bohaterka „Wypraw Krzyżowych” i „Melodyj Cygańskich”, Loretta Young.

Nigdy nie jest zapóźno myśleć o zdrowiu, tem bardziej jeżeli cierpisz na chorobę: *nerek, pęcherza, kamieni żółciowych, zlej przemiany materji, na bóle artretyczne, czy podagryczne, wzdęcie brzucha, odbijanie się lub skłonności do obstrukcji.* — Pamiętaj, że nigdy nie będzie zapóźno, o ile używać będziesz *zioł moczopędnych „DIUROL”, które zapobiegają nagromadzeniu się kwasu moczowego i innych szkodliwych dla zdrowia substancyj, zatruwających organizm.* — Dziś jeszcze kup pudełeczko zioł „DIUROL”, a gdy przekonasz się o dodatnich skutkach ich działania, zalecać będziesz i swym znajomym. Sposób użycia na opakowaniu. **Oryginalne ZIOŁA „DIUROL” GĄSECKIEGO** (z kogutkiem) sprzedają apteki i składy apteczne.

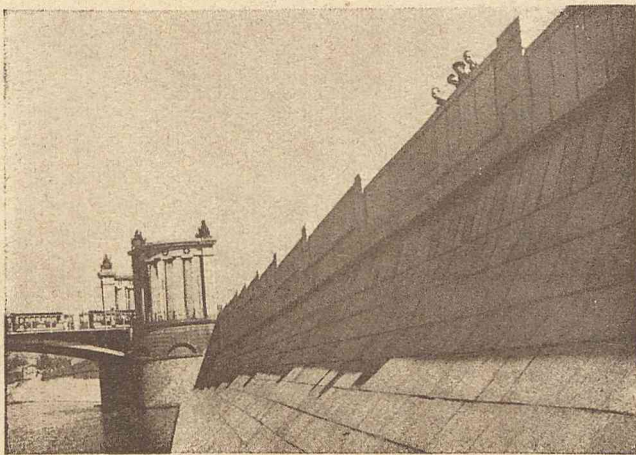
To już przysłowie: CWEJKO MODNE TKANINY TANIO SPRZEDAJE

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzednim telefonicznym porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87.

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca



Moskwa. Granitowe
wybrzeże przy moście
Borodino.

Szkoła talentów

Aby usunąć, w miarę możliwości, z kariery młodych talentów filmowych złośliwy przypadek, wytwórnia R. K. O. Radio stworzyła w Hollywood ciekawą instytucję: Szkołę talentów.

Szkoła ta ma za zadanie osądzić i ocenić zdolności nieznanymi młodymi aktorów. Pozwoli to figurantom i statystom, którzy stale pracują w studio, na wyprobowanie ich rzeczywistych zdolności i, w razie pozytywnego wyniku, na otrzymanie lepszego engagement.

Dyrektorką tej nowej placówki jest głośna scenarzystka Leila Rogers, matka świetnej tancerki Ginger Rogers.

„Matura” sfilmowana

W ubiegłym tygodniu odbyła się w najwykwintniejszym teatrze stolicy filmu „Tivoli” premiera wspaniałego filmu, osnutego w całości na tle znanej sztuki Władysława Fodora p. t. „Matura”. Pasjonujący temat, doskonałe tło i wdzięczne środowisko, w którym powstają najciekawsze zagadnienia młodzieży współczesnej doby, stwarzają świetne warunki do zrealizowania naprawdę dobrego filmu.

Sztuka Fodora była grana w bieżą-

cym roku w Warszawie w teatrze „Kameralnym” przez szereg miesięcy przy stałe wypełnionej widowni. Odtwórczyni roli głównej w warszawskim przedstawieniu, Jadzia Andrzejewska, mistrz Adwentowicz w roli profesora historii i Irena Grywińska w roli nauczycielki, zyskali sobie jaknajbardziej entuzjastyczne pochwały całej prasy.

W filmie uczennicę gra specjalnie sprowadzona z Francji aktorka, nowa gwiazda Hollywoodu, Simone Simon. Publiczność polska zna tę piękną dziewczynę, o wiotkiej postaci i czarującym uśmiechu, z filmu „Oczy Czarne”. Rolę profesora powierzył reżyser Irving Cummings fenomenalnie zdolnemu i ogólnie lubianemu aktorowi, jakim bezsprzecznie jest Herbert Marshall. Świetny aktor, którego każdy pamięta z takich filmów, jak „Czarny Anioł”, „Złote Sida”, „Dobna Wróżka” i ostatnio „Zapomniane twarze” — stworzył kreację, o jakiej trudno zapomnieć. Znana tragiczka scen amerykańskich Ruth Chatterton w roli nauczycielki zyskała sobie również najpochlebniejszą opinię prasy fachowej.



PASTY NA ELIKSIRZE
CHERYS
NIE ZAWIERAJĄCEJ MYDŁA



WYTWÓRNY PUDER
KREM ODŻYWCZY
GELOBIL
WARSZAWA



O ile was nogi bolą i pieką, znajdziecie ulgę, zanurzając stopy w misce dobrze nagrzaną wody zawierającej garść SOLI do NÓG GĄSECKIEGO (Z KOGUTKIEM).

Gdy roztwór soli tej przeniknie do por, USTAPI MĘCZĄCY BÓL I PIECZENIE. Nabrzmienie zniknie. Odciski zmiękną i dadzą się usunąć paznokciem. Ulgę, swoboda ruchów, wygoda — to wszystko zdobyte w przeciągu krótkiego czasu. Przepis użycia na opakowaniu. Sól do nóg Gąseckiego (z kogutkiem) posiada przyjemny i orzeźwiający zapach świeżej sosny.

Sól do nóg Gąseckiego (z kogutkiem) sprzedają sklepy apteczne, perfumerie i t. p. Jeżeli narazie nie mają, żądajcie, by sprowadzili, kupując bowiem na miejscu uniknięcie kosztów przesyłki, lub napiszcie do nas (A. Gąsecki, Warszawa, ul. Belgijska 7), to przyślemy wam pocztą, lecz po wpłaceniu na P. K. O. 1174 (na pocztę) — za 2 paczki zł. 2.20 — za 5 paczek zł. 4.50. Za zaliczeniem nie wysyłamy.



TRYKOTAŻE
POŃCZOCHY

TRICOT

WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 123

RECENZJE FILMOWE

„W blasku słońca”

Bałtyk

Film z Janem Kiepurą może zawsze liczyć na powodzenie. Znakomity głos naszego śpiewaka wyrobił mu na całym świecie tak liczne rzesze wielbicieli, że chociażby film nie odznaczał się absolutnie niczem, choćby był szary i banalny, publiczność będzie waliła drzwiami i oknami, aby go usłyszeć. Nie jest to jednak wypadek odosobniony. Filmy z wielkimi śpiewaczkami, czy sławnymi śpiewakami mają zawsze siłę atrakcyjną. Stąd też — zapewne — wytwórnie eksploatujące sławy śpiewacze montują swe filmy, przenosząc cały punkt ciężkości na stronę wokálną.

Wytwórnia Gloria, kręcąca film z Kiepurą nie odstąpiła od utartego zwyczaju. Film jest zrobiony poprawnie. Poszczególne sceny wiążą się w zwartą całość,

Znakomita para artystów filmowych Frederick March i Olivia de Havilland w obrazie reżyserji le Roy'a p. t. „Anthony Adverse”, wyświetlanym w kinie Atlantic.



akcja rozwija się logicznie, a szereg scen komicznych uwydatniono trafnie. Ale nic nie wybijają się ponad poprawną przeciętność. Intryga szyta jest tak grubymi nićmi, że zaciekawienie rozwojem akcji jest znikome. Treść jest idealnie standartowa i nie odbiega w żadnych szczegółach od utartego szablonu. To, że Kiepura jest szoferem taksówki, a nie — dajmy na to — rybakiem, że jego Mizzi jest sprzedawczynią kwiatów, a przyjaciel — impresario — sprzedawcą gazet nie zmienia zupełnie postaci rzeczy.

Poszczególne sceny nasuwają nieodparte wrażenie, że się je gdzieś już widziało. Jakość techniczna zdjęć poza nielicznymi wyjątkami budzi poważne zastrzeżenia, montaż poszczególnych scen i wkopjowanie — niestaranne, napisy w ogromnej większości nieczytelne.

Wiedeński zespół aktorski nie wykazał słabych stron. Gra ich — przy dość słabym scenariuszu — była żywa, poprawna i szczerą. Nie mieli zresztą trudnego zadania.

Kiepura miał rolę łatwą — śpiewał i robił to dobrze. Jego głos czy to w ładnej przebojowej piosence „W blasku słońca”, czy w paru arjach operowych wywoływał normalny entuzjazm. A że rola początkującego śpiewaka, pnącego się szybko do wyżyn sławy, była mu już z wielu własnych filmów dostatecznie znana, więc jego grze przed obiektywem nie można stawiać zarzutów. Szereg scen zagrał poprawnie, w paru mniej udanych, pokrywał niezręczność niedźwiedziowatym wdziękiem (tego wymagała rola), głosem czarował — więc czegoż chcieć więcej.

Film, biorąc ogólnie, sprawia wrażenie miłe. Szablon, okraszony wiedeńskim wdziękiem, nie drażni, melodie łatwo wpadają w ucho, a specyficzny humor miłych wiedeńczyków bawi.

Nadprogram zato budzi poważne wątpliwości. Nudna piła: „Wycieczka do Muzeum Wojska” drażni monotonością zdjęć figurek woskowych i wojskowych. Tygodnik Pata również dziwnie się nie udał. J.



BABY NEGRI

węgierska tancerka rewjowa występuje w dancingu Paradis w Warszawie.

DAN- CING PARADIS NOWY- ŚWIAT 3

W programie październikowym występują: 1) Maria Petrovics znakomita węgierska tancerka rewjowa, 2) Baby Negri węgierska tancerka, 3) Wiera Gran polska pieśniarka, 4) Alina Massalska polska tancerka, 5) Mary de Walewska pieśniarka, 6) ulubienicy Warszawy—GOLD i PETERSBURSKI. Została wprowadzona ulgowa konsumpcja. Zamiast zł. 2.50 — tylko zł. 1.50, wyłącznie dla gości przybywających między godz.10 a 11-tą wiecz. z prawem pozostania przez całą noc.